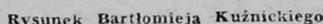


wielki turniej tenisa stołowego o puchar „Kontak- tów”

Pib & Breace

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

KONTAKTY
26 X 80
Cena 4 zł



wizerunek robotnika

O zaskoczeniu władzy, trudnościach rządzenia oświeconymi i wspólnocie przeżyć społecznych, z prof. dr hab. Janem Malanowskim z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Alicja Basta.

ALICJA BASTA: — Pozwoli Pan, Profesorze, że rozpocznę naszą rozmowę od osobistych wrażeń. Otóż, nie było dla mnie zaskoczeniem to, co działo się w naszym kraju w lecie bieżącego roku, gdyż każdy przecieżył, czyli nie korzystający z przywilejów władzy, czuł w ostatnich latach wzrastające napięcie społeczne, przeczuwał, że musi dojść do wybuchu. Zaskoczeniem było natomiast, że nie był to właśnie wybuch, jak w latach poprzednich, lecz zorganizowana walka. To zaskoczenie widoczne we wszystkich relacjach z Gdańska było pomieszczone z entuzjazmem i fascynacją. Ta fascynacja strajkującymi robotnikami jest nadal widoczna w wypowiedziach księgow, którzy byli w stoczni mł. Lenina w sierpniu tego roku. W języku dziennikarskim pojawiły się nowe wyrażenia np. „z optyki stoczni”, „robotnicy nam to załatwili”, a nazwa „klasa robotnicza”, szatywana od nadużywania, zaczęła dźwięczeć świeżo i dumnie. Jeśli pan podziela moją opinię, to jak pan wyjaśni ten dziennikarski entuzjazm?

JAN MALANOWSKI: — Tym przede wszystkim, co działo się wcześniej w naszej prasie. Jakżo bowiem obraz robotnika upowszechniali dotychczas polscy dziennikarze? Był to przede wszystkim robotnik — apologeta, potwierdzający decyzje władzy. Każde, najbezsensowniejsze przedsięwzięcie ubierano w aprobatę robotniczą, a dziennikarze pod presją zwierzchników wyszukiwali „włókniki” i „górników”, którzy potwierdzali tezy przyjęte przez władzę. Powstawało przy tym błędne koło — rzekome opinie robotnicze brano za rzeczywiste, co doprowadzało do wypaczenia wiedzy o rzeczywistym obrazie klasy robotniczej. W naszej propagandzie istniał też drugi typ robotnika. Celowały w nim pisma satyryczne, ale podobne rysunki ukazywały się i w „Trybunie Ludu”. Był to leniuch i migacz, pijak, powiewdziałym nawet brudas i brutal, jednym słowem typ robota — powtórzę tu określenie Ryszarda Kapucińskiego, użyte w „Kulturze”

— Te propagandowe stereotypy nie u-
miały jednak odbić się w świadomości
społecznej?

— Na początku lat 60-tych badałem wizerunek robotnika w świadomości innych klas. Pytałem wprost: „Jak pana zdaniem wygląda typowy robotnik?” Na stworzenie tego portretu używano więcej określeń ujemnych niż dodatnich. Wyniki tych badań przedstawiłem w książce „Stosunki klasowe i różnice społeczne w mieście”.

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

LEBON

○
○
○
—

WALSLEY

NOTES

Niedy żalu się pozbyłem
 I chwały, którą goniłem,
 Tego, czym nigdy nie byłem.
 Nad kraje, góry, zatoki
 Niosły mnie gryfy i smoki,
 Przypadki albo wyroki.
 No tak, być sobą to chciałem,
 Do łuster pijąc płakałem,
 Swoje głupstwo tak poznałem.
 Z paznokci, służowej błony,
 Kiszek i płuc i śledziony
 Czyj dom będzie uczyniony?
 Swoją własną a jeden z wielu
 Nie mam w sobie przyjaciela,
 Czas mnie na dwoje rozdziela.
 Zaśnieżone monumenty,
 Niech dar mój będzie przyjęty
 Wedrowałem, nie wiem kiedy.

(Z poematu „Miasto bez oblicza”)



ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ zamieszczamy fragmenty referatu Egzekutywy KW PZPR: „Aktualna sytuacja społeczno-polityczna w województwie łomżyńskim i wynikające z niej zadania dla wojewódzkiej organizacji partyjnej” wygłoszonego przez tow. Waldemara Szpalińskiego na plenum KW PZPR.

ŹRÓDŁA ROBOTNICZEGO PROTESTU

- pragnienie udokumentowania przez załogi swojej obecności w życiu społeczno-politycznym, a także wola podkreślenia swojej roli;
- zaprzestanie przeciwko braku reakcji na wielokrotnie zgłaszane postulaty, wnioski i opinie;
- niedomogi w zarządzaniu, kierowaniu i organizacji pracy mającej bezpośredni wpływ na warunki pracy załóg i wynagrodzenie;
- dokuczliwe odczuwalne niedostatki w zaopatrzeniu w artykuły żywnościowe;
- solidaryzowanie się ze strajkującymi załogami macierzystych zakładów znajdujących się poza naszym województwem.

WYSOKA ODPOWIEDZIALNOŚĆ LUDZI PRACY

Podczas strajków, kiedy wyzwalali się emocje i prowadzono ostrą dyskusję, we wszystkich zakładach naszego województwa panował ład i porządek. W pełni zabezpieczony był majątek zakładowy.

W okresie robotniczego protestu trwała wyjątkowa praca na wsi łomżyńskiej przy zbiorze plodów rolnych, normalnie funkcjonował handel i pracowała służba zdrowia. Wysokie poczucie odpowiedzialności wykazali nauczyciele i wychowawcy. Znamienne jest fakt, że w tym trudnym okresie panował ład, porządek i dyscyplina w całym województwie.

NIE ZACZYNAJEMY OD POCZĄTKU Dziś emocje opadają, wraca w miarę normalny rytm pracy. Wiele załóg odrobiło już zaległości, lub jest w trakcie ich odrabiania. Jesteśmy świadomi, że spadek emocji nie oznacza, iż problemy, które

nurtują członków partii i wszystkich ludzi — zostały rozwiązane. [...] Mamy pełną świadomość, że wiele organizacji partyjnych nie otrzymało się jeszcze z odroczenia, że zachwiane zostały proporcje między krytyką władz a samokrytyczną oceną własnej działalności. Funkcjonuje często skrajna ocena: „wszyscy na dole są dobrzy — wszyscy na górze są źli”, a obiektywna prawda jest przecież taka, że w jednym i drugim przypadku są zarówno do brzy jak i źli. [...] Totalna negacja wszystkiego i wszystkich niczemu nie służy i niczego nie rozwija. Niech towarzyszy nam zawsze świadomość, że nie zaczynamy przecież wszystkiego od początku — lecz zaczynamy po nowemu.

NOWY STYL PRACY PARTYJNEJ

Trzeba nam wspólnie wypracować i utrwaląć nowy styl pracy partyjnej. Poświęcając większość czasu na analizę zadań gospodarczych, zwracaliśmy jednocześnie zbyt mało uwagi na rozwój życia ideowego w partii, co w zestawieniu z „propagandą sukcesu” i brakiem rzetelnej informacji, prowadziło do rozmycia się słów z realną rzeczywistością. Budziło też niewiarę w głoszone hasła i nie dostarczało wystarczających ideowych motywacji do rzetelnej pracy. Przykładaliśmy zbyt mało uwagi do działalności ogniw podstawowych partii, do kształtowania jakości szeregow partyjnych.

JASNE KOMPETENCJE — WIĘKSZA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Należy jasno określać zakres kompetencji i odpowiedzialności pracowników aparatu partyjnego za powierzone im zadania, aby nie doprowadzić do dyrektywnych, jednostronnych ingerencji w działalność jednostek gospodarczych, instytucji czy organizacji społecznych. Aparat partyjny powinien być przede wszystkim organizatorem pracy z aktywem i członkami partii, uogólniać i upowszechniać ich wiedzę i doświadczenia w działalności partyjnej. Trzeba szukać nam nowych kontaktów z bezpartyjnymi i poszerzać dla nich pole współdziałania z członkami partii i partią. [...] Konkretyzacji wymagają płaszczyzny współpracy z ZSL i SD, podnoszenia ich współodpowiedzialności za poszczególne dziedziny życia społeczno-gospodarczego naszego rolniczoprzemysłowego województwa.

PODNIĘĆ RANGĘ SAMORZĄDU WIEJSKIEGO

Trzeba przywrócić i umocnić udział i czynne uczestnictwo samych

rolników w rozwiązywaniu społecznych i produkcyjnych problemów wsi. Niezbędne jest również rozszerzenie wpływu rolników na pracę instytucji obsługi rolnictwa. Wymaga to reaktywowania i podniesienia rangi samorządu wiejskiego zarówno w sferze współdecydowania o sprawach wsi jak też w wyważaniu społecznych inicjatyw.

POPRAWA ZAOPATRZENIA — WAŻNYM ZADANIEM

Dla poprawy zaopatrzenia naszego rynku wymagane jest bezwzględne zwiększenie operatywności kierownictwa naszych pionów handlowych w pozyskiwaniu towarów nie objętych bilansowaniem centralnym oraz skuteczniejsza współpraca organizacji handlowych z lokalnymi producentami towarów rynkowych. [...] Problem poprawy zaopatrzenia rynku — jeden z głównych i najbardziej masowych postulatów załóg pracowniczych — wymaga zbiórowego wysiłku i społecznej inicjatywy oraz energicznego i skutecznego działania władz.

NIEZBĘDNE WARUNKI DOBREJ PRACY

Ludzie muszą być pewni, że efekty ich pracy nie są pomniejszane przez nieudolne planowanie i zarządzanie gospodarką lub wręcz marnotrawione przez pasyżów i kombinatorów na różnych szczeblach zarządzania i kierowania. Ludzie chcą i oczekują tego, aby lepsza praca wynagradzana była lepiej od złej. Potrzebne są zatem zapowiedziane na VI Plenum KC reformy gospodarcze i głęboka demokratyzacja całokształtu naszego życia oraz tworzenie prawno-instytucjonalnych gwarancji przeciwko deformacjom i wypaczeniom socjalizmu.

W ŁOMŻY ODBYŁO się XVIII plenarne posiedzenie WK SD. Podkreślono, że zasad demokracji nie można urzeczywistnić bez wyposażenia organów przedstawicielskich w pełnię władzy kontrolnej i prawodawczej. Krytyczne uwagi dotyczyły opieszałego procesu demokratyzacji w łomżyńskim, realizacji reformy oświaty i rozwoju kultury.

PODZAS TRZYDNIOWEGO seminarium aktywu ZSMP zwrócono uwagę na zbyt rzadki kontakt władz wojewódzkich ZSMP z kołami terenowymi, słabe rozpoznanie potrzeb i dążeń młodzieży. Zastanawiano się również jakie są możliwości udzielenia pomocy młodzieży uczącej się, zwłaszcza ze wsi.

37 ROCZNICE utworzenia LWP uczczono na uroczystym posiedzeniu

Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD w Łomży. W trakcie plenum uczestnikom walczyli z hitlerowskim najeźdźcą wręczono odznaczenia państwowe i resortowe. W dniu tym przekazano do użytku „Dom Zbawidowca”. Budynki pierwotnie przeznaczone do rozbiórki zostały odremontowane i inicjatywy pki. Józefa Piotrowskiego — szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojakowego. Remont budynku przeprowadzili w czynie społecznym zwoadowcy, milicjanci oraz żołnierze. Pracami kierował Społeczny Komitet Budowy „Domu Zbawidowca” z przewodniczącym pki. Stefanem Sokolowskim.

DZIEŃ NAUCZYCIELA uczczono w Zbójnej uroczystą akademią zorganizowaną w Zbórzkiej Szkole Gminnej oraz przekazaniem nauczycielom dwóch budynków mieszkalnych.

W Łomży spotkali się nauczyciele — uczestnicy tajnego nauczania podczas okupacji hitlerowskiej. W czasie spotkania pedagogom — dziś w większości emerytom — wręczono medale Komisji Edukacji Narodowej.

Wśród wyróżnionych przez Radę Państwa honorową odznaką i tytułem „Zasłużony Nauczyciel PRL” znajduje się emerytowany nauczyciel Franciszek Olszański — mieszkaniec Łomży (sylwetkę odznaczonego pedagoga przedstawimy w jednym z numerów „Kontaktów”).

MIEJSKO-GMINNY Ośrodek Kultury w Szczecynie rozpoczął kolejny rok kulturalno-oświatowy. Imprezy i szkolenia będą odbywały się również w sąsiednich gminach: Grabowo, Stawiski, Wasosz.

KIEROWNIK WYDZIAŁU Handlu i Usług Urzędu Miejskiego Kazimierz Smeloch poinformował nas, że niedobór cukru w łomżyńskich sklepach spowodowany jest złym przebiegiem zbiorów buraka cukrowego i wynikającymi z tego opóźnieniami kampanii cukrowniczej. Wystarczające dostawy cukru powinny nastąpić w pierwszej dekadzie listopada. Wszystkie nie zrealizowane bony są ważne do końca br.

W ZAWODACH LIGI międzywojewódzkiej w Pułtusku w podnoszeniu ciężarów, zwycięstwo odniósł ciężarowiec WLKS „Narew” z Łomży. Najlepszy rezultat osiągnął Marek Szakała, dźwigając w wadze półciężkiej 230 kilogramów.

KRONIKA ZMIAN kadrowych: Janusz Berner (lat 33), dotychczasowy inspektor Biura WRN, powołany został na stanowisko dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW.

kladowej Komisji Robotniczej w Jastrzębiu („Solidarność”) Jarosław Sienkiewicz stwierdził: Na temat propozycji CRZZ nie będziemy rozmawiać. Choćby to była ustawa ze złota, nikt tego nie chce czytać! Jedno jest pewne: odbudowa ruchu związkowego nie jest możliwa w ramach CRZZ. [...] W chwili obecnej Międzyzakładowa Komisja Robotnicza ma minimalne możliwości przeciwdziałania strajkom. Życzyliśmy sobie dostępu do prasy, aby upowszechnić nasze stanowisko, ale nie w tym kierunku nie zostało poczynione. Z radiowęzłami też różnie bywa.

Z OŚWIADCZENIA Lecha Waleśy na forum Komisji Porozumiewawczej: Zdajemy sobie sprawę z trudności, które wynikają z faktu wielości postulatów pracowniczych. Uważamy jednak, że jeśli władze nie mogły wykonać w terminie do 30 września swojego zobowiązania — powinny one w sposób wiążący i podany do wiadomości publicznej określić harmonogram przeprowadzenia dalszych rozmów.

PREZES SADU WOJEWÓDZKIEGO w Warszawie poinformował, że 24 września wpłynął wniosek o rejestrację NSZZ „Solidarność” co do którego sąd zgłosił swoje uwagi i zastrzeżenia. W pisemnej odpowiedzi, jaka otrzymał 27 października większość z nich nie została przyjęta. 16 października na rozmowy w sądzie przybyło 8 przedstawicieli Komitetu Założycielskiego. Rozmowy te doprowadziły do wyjaśnienia niektórych kwestii, nad innymi zaś dyskusja jest kontynuowana. Najistotniejsze rozbieżności dotyczą warunków, na jakich będą tworzone nowe związki.

DANIEL PASSENT konstatuje w „Polityce”, że wiele przemawia na podwyżkę kursu trybistycznego, i to tak drastyczna, żeby bramy i toalety hotelowe przestały pełnić rolę banków.

WE WRZESNIU produkcja przemysłu była o 7 proc. niższa od zrealizowanej we wrześniu ub. r., natomiast osobowy fundusz plac — wyższy o 15,5 proc. Zmniejszenie wydobycia węgla w stosunku do planu wynosi już 4,5 mln ton. Nie wykonuje się planu budownictwa mieszkaniowego. Za 9 miesięcy zrealizowano tylko 41,4 proc. rocznych zadań.

OD POCZĄTKU 1981 roku przewiduje się przeprowadzenie tzw. małej reformy gospodarczej, której projekt obejmuje m.in. wprowadzenie jako miernika działalności przedsiębiorstw kategorii produkcji netto, likwidację limitów zatrudnienia i podziału funduszu plac na liczne kategorie, uchylenie zarządzeń ograniczających kompetencje przedsiębiorstw.

Z KOMUNIKATU konferencji Episkopatu Polski: Wydarzenia ostatnich miesięcy, których byliśmy świadkami, a nawet w jakiejś mierze uczestnikami, wstrząsnęły wszystkimi dziedzinami życia zbiorowego: społecznego, gospodarczego, kulturalnego a nawet życia osobistego. (...) Obecnie najbardziej nam potrzeba wewnętrznego spokoju społecznego, stabilizacji sytuacji wewnętrznej na podstawie uzgodnień między władzą a społeczeństwem i związanego z tym ładu gospodarczego.

ROZPOCZĄŁ PRACĘ zespół do opracowania projektu ustawy o związkach zawodowych. W jego skład wchodzi dziewięciu naukowców, dwunastu przedstawicieli NSZZ „Solidarność”, pięciu reprezentantów dotychczasowych związków zawodowych i ośmiu prawników.

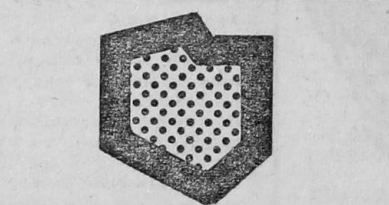
OBawy o NEGATYWNY wpływ samorządności na efektywność realizacji przedsięwzięć wynikają — zauważa prof. Arkadiusz Górka w „Trybunie Ludu” — z niezrozumienia istoty efektywnego zarządzania. Ci, którzy się obawiają samorządu, niech się nie męczą. Nie potrzeba

ich rozliczać, gdyż najczęściej nie popełnili błędów, bo tylko ten nie błądzi, kto nic nie robi.

LUDWIK KRASUCKI w artykule opublikowanym przez PAP („W kręgu negacji”) stwierdza: Przyglądając się kolejnym kryzysom, dochodzimy do zasadniczego wniosku, że mogło ich nie być. Jest to wniosek gorzki, ale całkiem odmienny od tego, który podsuwają przeciwnicy twierdząc, że kryzysy są wytworem ustroju, jego cechą immanentną. [...] Pod hasłem niereformowalności systemu — uniemożliwić jego reformy. Pod hasłem odnowy utrzymać to, co już stare — mianowicie kryzys. Pod hasłem walki z deformacjami ustroju pogłębiać je w kierunku beznadziejności, anarchii. Taki jest „drugi etap”, do którego zmierzają „eskalatorzy”. Nie chcą nikogo straszyć. I nie opowiadają ponurej bajki. Przedstawionym powyżej scenariusz zaistniałych przeciwników ustroju, którzy tworzą sztab ugrupowania KORowskiego, jest nieczym innym, jak opisem strategii przez nich realizowanej.

SYTUACJA W POLSCE była m. in. jednym z tematów obrad plenów KC KPCz i KC RPK. Sekretarz KC KPCz Vasil Bilak podkreślił: To co dzieje się w Polsce jest nie tylko odbiciem niezadowolonych ludzi pracy. Niedociągnięcia gospodarcze, polityczne i ideologiczne wywołują napięcia na poczekaniu wykorzystywane przez siły kontrrewolucyjne w kraju i za granicą. [...] Nie ukrywamy, że to co dzieje się w Polsce, dotyczy nas głęboko od strony politycznej, ideologicznej i gospodarczej. Dlatego towarzysze polscy mogą zawsze liczyć na pomoc naszej partii i naszego ludu — powiedział V. Bilak. Sekretarz Generalny RPK, Nicolae Ceausescu oświadczył, że trudności, jakie przeżywa Polska, nie mogą usprawiedliwić strajków. Krytycznie ustosunkował się też do niezależnych związków zawodowych.

W WYWIADZIE dla „Sztandaru Młodych” przewodniczący Międzyza-



BIURO POLITYCZNE KC PZPR i Prezydium NK ZSL przedstawiło pod szeroką dyskusję projekt wytycznych w sprawie węzłowych problemów polityki rolnej, rolnictwa i gospodarki żywnościowej. W projekcie wytycznych stwierdza się między innymi: polskie rolnictwo jest jedno. Jego trzon stanowią gospodarstwa indywidualne: przygotować należy i wprowadzić zasady, w myśl których rolnicy posiadający będą prawo pierwokupu dzierżawionej ziemi; w latach 1981—85 zostanie zdecydowanie zwiększony udział produkcji przemysłowej na rzecz rolnictwa i gospodarki żywnościowej oraz nakłady inwestycyjne na te działy; produkcja rolnicza musi być trwale opłacalna. Od pierwszego grudnia br. podniesione zostaną ceny skupu mleka, a w pierwszym kwartale przyszłego roku innych podstawowych produktów rolnych; w ostatnich latach działalność samorządu spółdzielczego i rolniczego, a także organów przedstawicielskich została ograniczona ze szkodą dla mieszkańców wsi i ludowego państwa. Ten stan rzeczy musi się szybko i radykalnie zmienić; jednym z podstawowych zadań polityki społecznej państwa jest poprawa warunków socjalno-bytowych wsi. Wiele jest w tej dziedzinie zaniedbań, które powinny być szybko usuwane.

PRZEWIDYWANY SKUP mięsa będzie w tym roku o 120—145 tys. ton niższy niż planowany. Decyzje rządu podnoszące ceny skupu trzody chlewnej mają na celu zahamowanie tej tendencji; na poprawę jednak przyjdzie jeszcze poczekać.

kontakty kontaktów

Jest mi niezmiernie miło przekazać najlepsze życzenia i gratulacje z okazji ukazania się piętnastego numeru „Kontaktów”, a także podzielić się z Wami odczuciami z lektury pisma, w zredagowaniu których pomogły mi bardzo tytuły Waszych publikacji.

Wasz „poród” wyznaczał „sentymenty łomżyńskie”. I chociaż czas powstania był trudny, to jednak „świadełstwo urodzenia” zda się gwarantuje, iż ustrzeżenie się choroby „pokusy” zejścia w zaświatankowość.

Zapewne będą „spieć”, nie raz zdarzyć się może „wypadek”. Zapewne nie „wszystkim — Redaktorze — dogodzisz”. Zamiast chwały, nagrodą częstokroć będzie „władza z pokrzyw”. By tego uniknąć, musisz wiedzieć „co komu w duszy gra”, pomagać czytelnikom „złapać innego powietrza”, a nade wszystko należy mieć zawsze trzeźwy „punkt widzenia”, bez względu na czas i dziennikarskie „granice fantazji”.

Cenimy Was za to, iż „potraficie ocalić od zapomnienia” losy ludzi, jesteście w stanie wyzwolić „pospolite wzruszenie”, zachęcać do „chwytania znikającego”, ukazując nie tylko „kolekcjonera” czy „zwierzenia kruczwłosej” lecz także „inicjatywę w powiśkach”.

To dzięki Wam, co tydzień przenoszę się w rodzinne strony, gdzie jest „dom moich marzeń”, do miejsc gdzie „kioski zaglądają na podwórko”, a synonimem postępu w rolnictwie jest „specjalizacja na dyszu”. Tam się też dowiaduję „o czym szepeją stare gnaty”.

W Polsce jest wiele pism, lecz wśród nich „różnicie się pięknie”. Nie przez to, że znacie zawodowe „racje stanu”, ale przez fakt, iż chcecie „zostać sobą”. Jak dotychczas nie jest to „działanie na gwizdek”, chociaż jak każdy z twórców pisma powinniście być przygotowani również na „poprawkę w wrażliwości”. Tego bowiem wymaga rzeczywistość, czas tworzenia i nasze życie.

Zyczę Wam kochani na następne miesiące i lata, zawodowej zachłanności, świeżości spojrzenia, sięgania do podglebia naszej polskości, poszanowania dla prawdy i piękna.

Zyczę Wam utrzymania wysokich lotów, celnych piór oraz pomyślności w życiu osobistym.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

STANISŁAW MIENKOWSKI
Sekretarz WK ZSL
w Białymstoku

★

Przeczytałam wnikliwie artykuł „Racja stanu” — jest dobry. Ja, jak i moi współmieszkańcy grodu nad Biebrzą nie chcemy tej stagnacji, która rujnuje nasz dorobek i niszczy dobre treści. Chodzi nam nie tylko o odbudowę moralną, ale przede wszystkim o czyn, o naprawę zła, jakiego nam ludzie, popierani przez władzę, naczynili. Dlatego ten artykuł przyjął jako uwerturę do opery, która powinna zabrznieć głośno i dobitnie, w czym, mam nadzieję, pomoże nam ostre pióro „Kontaktów”.

ZYTA SOBOTKO-LEBEK
Goniądz

★

Kilka lat temu entuzjaści kolekcjonerstwa założyli Łomżyński Klub Kolekcjonerów przy Wojewódzkim Domu Kultury. Wyrazem jego działalności były comiesięczne spotkania w WDK, prelekcje, pokazy oraz wystawy, które cieszyły się ogromną popularnością. Niestety, przed rokiem z nieznanym powodem klub nagle rozwiązano. Zaczęliśmy szukać nowego lokum — jak dotąd bez skutku. Pomóżcie, jeżeli możecie, bo pożyteczny i potrzebny ruch kolekcjonerski w Łomży umrze i to nie długo.

Łomżyńscy
Kolekcjonerzy

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Krystyna i Henryk Sielawa z Borkowa są przeciętną, wiejską rodziną. Większość problemów, o których mówią, dręczy również innych rolników. I to nie tylko tych z Borkowa.



— Dobrze się państwu gospodarczy. Na podwórzu ciągnik, kopaczka.

Henryk Sielawa: Na polski szans nie było, to dobry i ruski. A kopaczkę od prywatnego kupilem za 45 tysięcy, chociaż 23 kosztuje.

— Po co przepłacać, jeżeli taniej wypożyczyć z kółka?

Krystyna Sielawa: Jak, kiedy tam są dwie maszyny na chodzie, a we wsi dwieście osób i każdy by chciał...?

H.S.: Teraz kopimy kartofle. W kółku tylko jedna kopaczka sprawna. Dawanie sprzętu kółkom to czysta strata. Oni go wcale nie szanują. Po roku — wszystko na szmelc.

K.S.: Prywatny, chociaż żaden nie jest specjalistą, uważa na maszynę, jedzie wolniej, pracuje inaczej. Smaruje, konserwuje.

Babcia: Taki nie patrzy czy to kamień, czy co. Leci dopóki nie porwie maszynę.

jakoś tam inaczej rozdziela. My oglądaliśmy tylko zatwierdzone listy.

Babcia: Z węglem tak samo. Sprytny dostanie i z dziesięć ton, a drugi zdycha z zimna. Kartoteki są, ale nikt do nich nie zagląda. Mnie, inwalidce, ani kilograma przez rok nie dali.

H.S.: Co to za polityka. Świnia sprzedaż, węgla nie dostaniesz.

— Ktoś chyba dba o wasze interesy?!

H.S.: Są u nas te Rady Narodowe, ale to jest klepanie kijem po płocie. Gminne Rady są niby wybierane z ludzi we wsi. Z każdej jakiś człowiek tam jest. Jakies seje mają, debaty.

— A kto z waszej wsi jest w Gminnej Radzie Narodowej?

— Nie wiecie?

K.S.: Kristofczyk kiedyś był, ale ja nie chcę w błąd wprowadzać. Babcia: Taki człowiek powinien

nych, a nawet sprawy szosy nie można załatwić. Ile tu wypadków, ile dzieci poszło do piachu. Dwadzieścia lat temu ubytki już były. Rowy kazali posypywać, co do nich woda spływa. Teraz woda w piwnicach — ziemniaki wygniwa.

K.S.: Moglibyśmy w czynie społecznym pomóc.

Babcia: Nawet krowy nie chcą iść po błocie, tylko środkiem. A samochody leżą sto i więcej.

H.S.: A czy ktoś pomyślał o zaopatrzeniu?!

K.S.: W sklepie nawet kaszy, maki nie ma. Cukier raz w miesiącu. Tylko pieczywo wożą regularnie.

H.S.: Oni myślą, że rolnik sam się we wszystko zaopatry. A przecież świnia co miesiąc nie urośnie.

Babcia: Teraz nie ma co zarzącać ani kupić. Ni smalcu, ni słoniny, ni kiełbasy. I kop tu kartofle o suchym chlebie.

K.S.: W mieście też jak do rzeźnika pójdziesz, to tam dwie wagi.

kijem po płocie

K.S.: O wypożyczaniu nie ma mowy. Stoją trzy — cztery grabiarki i tyle, że mają je na stanie. Bo wziąć można tylko z ciągnikiem i kierownicą. To kosztuje. Ciągnik ma prawie każdy, a maszyny może co piąty, albo jeszcze mniej. Za maszynę płaci się za dobę, a jak z ciągnikiem — to od godziny. Wypożyczyliśmy na przykład rozrzutnik, to za dobę płaciło czterysta pięćdziesiąt złotych, a jak z ciągnikiem, to tyle samo kosztowała godzina.

H.S.: Tylko jakieś zarządzenie ogólnie mogłoby zmienić coś na lepsze. Bo teraz, jeden pójdzie — da na gorzałę, to mu wydadzą, a dla drugiego nie ma nigdy.

K.S.: Maszyny są teraz tylko na przydział. Dwa lata już mamy ciągnik i ani co do niego dokupić. Podania leżą w gminie. Naczelnik nigdy nie powie: — nie dostaniecie — ale: — dostaniecie, tylko poczekajcie.

H.S.: Jest niby jakaś kolejka, ale nie ma w niej kolejności. Gmina

być we wsi zapoznany.

K.S.: Chyba czterech jest wybranych, bo sześciu było na liście, ale nie pamiętam którzy.

H.S.: Tych dwóch ostatnich odpada. Nic się nie kreśli, bo tam ołówków nie ma.

— Może sołtys wie, kto jest radnym?

K.S.: A, sołtys to będzie wiedział. Czwartą kadencję rządzi.

— To dobry jest, jak go tak wybieracie...?

H.S.: Wybieramy... Naczelnik wstanie, zaproponuje tego i tego i po wyborach. On w gminie jest dobry. bo niczego nie żąda, a ludziom...

K.S.: Jeden wstanie, powie że może być stary, to nikt nie chce być gorszy. Co ja powiem, że mnie nie pasuje? On i tak zostanie, a potem będzie miał na mnie oko.

H.S.: Takie sprawy jak wybory, głosowanie powinny być tajne. Jak ktoś na boku coś gada, to rozganiają: — Czego tak dyskutujecie! Mamy tego sołtysa, tych swoich rad-

Przywożą towar o dwunastej, to i tak do trzeciej nie sprzedają. Wyjdą ludzie z pracy i kupują pierwszy — niby w bufecie. Dla nas nie nie zostaje.

Babcia: A żeby wieś nie uchowała, to miasto by jadło?

H.S.: Nie mogliby czasem na wieś coś dowieźć? Czy my musimy zawsze do Kolna? Przynajmniej wtedy kiedy u nas najwięcej roboty.

K.S.: Akurat tam o nas myślą. Jak tylko wrócimy z pola i trzeba koło dobytka obrobić, sobie coś ugotować, to pstryk, światło wylączyli. Siedzą do dziewiątej, dziesiątej. Bydło ryczy, nam też się chce płakać. Dopiero jak im się naprzykrzy i idą spać to światło nam włącza.

U nas i tak każdy dzień za krótki, to po co jeszcze te dwie godziny odbierać?!

DANALEK
Fot. GABOR LÖRINCZY

co u państwa słychać?



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

— Jakże skutki miało takie zdeformowanie obrazu robotników?

— Jeden z poważnych błędów politycznych polegał właśnie na tym, że nie znano rzeczywistego obrazu klasy, nie dostrzegano zmian, jakie zachodziły w niej w ciągu lat. A tymczasem obok starych robotników wyrosło nowe pokolenie, które nie mieści się w żadnych starych schematach.

— Stąd to zagubienie władzy, zwłaszcza na szczeblach średnich. Stare schematy nie sprawdzają się, a nie przychodzą dyrektywy z Warszawy, więc nie wiadomo, co robić.

— Przestało przede wszystkim sprawdzać się instrumentalne traktowanie robotników, widzenie i wykorzystywanie tylko tych ich cech i możliwości, które odpowiadały na oczekiwania władzy. Robotnik był ograniczony do jego funkcji produkcyjnych. Powinien wydajnie pracować i nie chorować. Przez wiele lat sytuacja chorującego robotnika była o wiele gorsza niż pracownika umysłowego. Dopiero nowy Kodeks Pracy zniósł te różnice, aczkolwiek nie do końca, ponieważ pracownicy akordowi nadal płacą za swoją chorobę. Karta Górnik, na przykład, traktowana jako osiągnięcie socjalne, wyraźnie dyskryminuje chorujących górników. Nie mówię już o naciskach na lekarzy zakładowych, by jak najrzadziej udzielali zwolnień lekarskich. Chciałbym przy tym zwrócić uwagę na niejednolite traktowanie pracy. Przez całe lata słyszeliśmy pretensje do niskiej wydajności robotników, wypominano im każdą zmarnowaną minutę. Tymczasem wydajność pracy nie zależy jedynie od dobrych chęci pracowników. Zapominano, że składa się na nią oprócz pracowitości i chęci do pracy także jej organizacja, narzędzia i ich jakość...

— ...nie mówiąc o tym, że zarówno surowce jak i narzędzia muszą być. W ostatnich czasach po prostu ich brakowało.

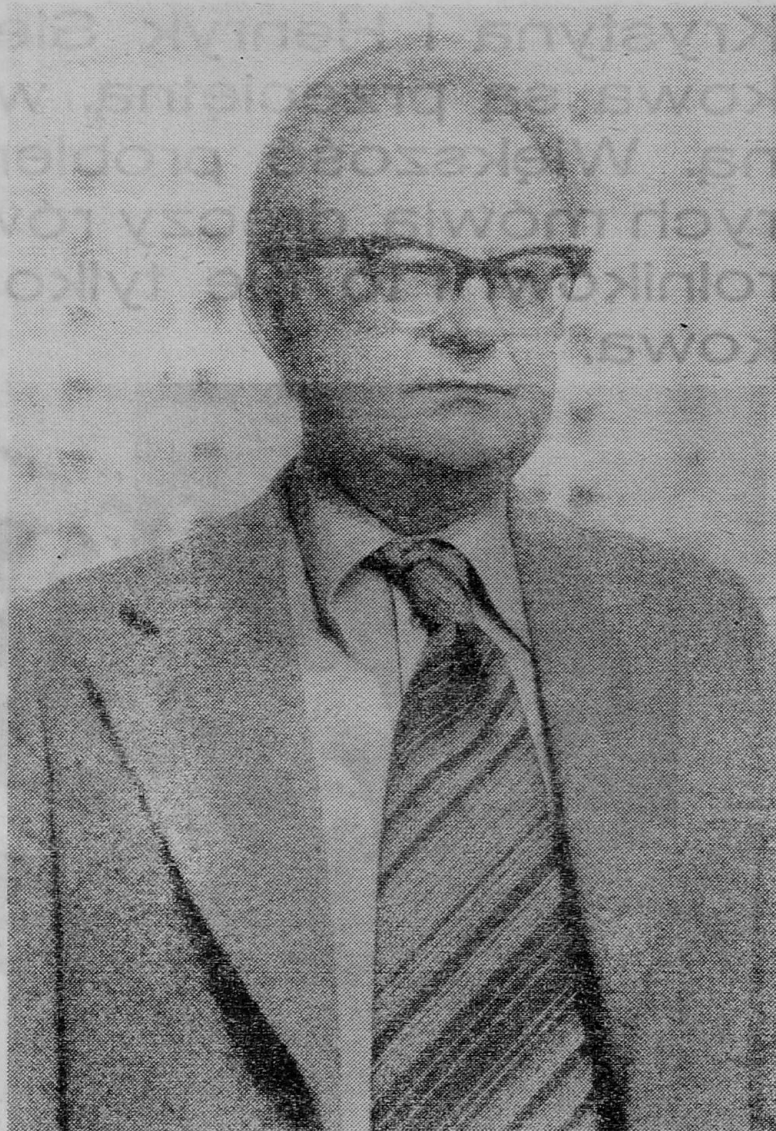
— No właśnie. Pracowitość ma swój pułap, ograniczony wydolnością ludzkiego organizmu — stanem zdrowia, siłą fizyczną, wytrzymałością psychiczną etc. — tego się nie przeskoczy. Natomiast pozostałe elementy, wpływające na wydajność, są niemal nieograniczone. Kiedy więc zarzucano robotnikom bumelanetwo i marnotrawstwo, to należałoby przyjrzeć się pracy ludzi na wyższych stanowiskach, odpowiedzialnych właśnie za te nieograniczone możliwości podwyższania wydajności pracy. Nikt jednak tego nie robił, przeciwnie, ludzie od dyrektorów wzywać byli nawet chronieni przed podobnymi dociekaniem. Ja sam znam tylko dwie prace o dyrektorach i to nie o ich pracy, lecz o drogach ich karier, a to jest akurat stosunkowo dobrze znane.

— A przecież szkody poczynione z winy robotnika i z winy decydenta są nieporównywalne.

— Toteż i odpowiedzialność powinna być różna. Tymczasem nie żądano odpowiedzialności decydenta za zło wynikłe z jego winy, pamiętano natomiast o niej przy ustalaniu pensji. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że skalę odpowiedzialności nie wyznaczała rzeczywista odpowiedzialność, lecz zajmowane stanowisko. Na udowodnienie tego twierdzenia przytaczam zwykłą historię wyciągniętą w gazecie. Dwóch robotników przyniosło do zakładu, niewielkiego zresztą, wódkę, żeby ją, oczywiście, wypić, co jest rzeczą naganną. Gorsze było jeszcze to, że po libacji nie chciało im się pracować, wobec tego doprowadzili do śpięcia elektrycznego i wyłączenia prądu w zakładzie na kilka godzin, żeby się przespać. Rzeczą się naturalnie wydała, robotnicy stanęli przed sądem i otrzymali wieloletnie wyroki. Pytam jednak, jakie wyroki powinni otrzymać ludzie, którzy podejmowali decyzje o budowie nowych fabryk nie bilansując ich z możliwościami energetycznymi. Słyszało się o ginięciu tysięcy kurecząt w wyłęgarniach, o rozmrożeniu tysięcy ton produktów w chłodniach, gdy wyłączano prąd bez uprzedzenia. Przykłady można by mnożyć, bo jest ich tysiące. Jak zakwalifikować takie decyzje w porównaniu z zepsutą przez robotnika częścią maszyny? Czy wyłączeniem prądu w jednym zakładzie?

— Proponuję byśmy wrócili do rozpoznanego portretu robotnika.

— Mówiąc krótko był to obraz jednostronny, nie człowieka wielowy-



Fot. Alicja Basta

miarowego lecz jedynie dodatku do maszyny, w najlepszym wypadku człowieka produkcyjnego, *homo economicus*. Brakowało zwłaszcza w tym płaskim portrecie cech obywatela. Owszem, przedstawiano robotników i w roli politycznej, lecz głównie w trakcie wygłaszania laurkowych, pisanych uprzednio przez aparat przemówień. Oni to teraz dementują.

— Ale robotnicy sami występowali jako obywatele w przełomowych dla kraju momentach.

— Raz na parę lat. Udawadniali wówczas, że umieją się wypowiadać. Ale potem znów próbowano zredukować ich żądania do ekonomicznych. Tak było i w lecie tego roku. Sądzone, że wystarczy dać robotnikom po tysiąc złotych, aby siedzieli cicho. Ale klasa dorastała do nowej świadomości. Powoli, ale jednak dorastała.

— Dlaczego trzeba było tylu lat, aby ta świadomość ujawniła się w pełni?

— Większość robotników była w poszczególnych okresach usatysfakcjonowana tym, co się w Polsce działo. Na przykład w pierwszym okresie ludowładztwa weszła do klasy robotniczej masa bezrolnych i bezrobotnych mieszkańców wsi, ledwie tam wegetujących. Dla nich był to wyraźny awans. Zaczęła się ponadto kształtować grupa chłopo-robotników, podwójnie pracujących, ale i osiągających podwójne zyski. Zado-

woleni byli także przedstawiciele starej, przedwojennej klasy robotniczej, którzy dobrze pamiętali przedwojenne bezrobocie.

— Ale w roku 1956 robotnicy „Cegielni” wystąpili właśnie z żądaniem ekonomicznymi.

— Tak było rzeczywiście, ale też był to okres załamania się planu 6-letniego, z jego forsowną industrializacją. Poza tym w poprzedzającym okresie popełniono ciężkie błędy polityczne, za które trzeba było płacić. W sumie niezadowolone były wszystkie klasy społeczne. Robotnicy — z powodu postępującej szybko pauperyzacji. Chłopi — z powodu prowadzonej na siłę kolektywizacji. Inteligencja — z przyczyny utraty pozycji społecznej i materialnej, a wszyscy razem czuli się urażeni w godności narodowej. W sumie dało to październik 1956.

— Nastąpił potem okres stabilizacji i nowego rozwinięcia inwestycji, w konsekwencji rozchwiania gospodarki i grudnia 1957. Po których nowe przyspieszenie przemysłowe — przypomnę, że pułap inwestycji osiągnął najwyższy po wojnie poziom: na każdą złotówkę wydaną na konsumpcję przypadało 60 groszy, gdy przed poprzednimi kryzysami odpowiednio 35 i 40 groszy — zakończyło się kolejnym protestem narodu. Czy tak być musi zawsze?

— Na takie pytanie mogą odpowiedzieć jedynie ekonomiści, podob-

nie jak mogą określić górny pułap inwestycji i proporcje wydatków na różne ich działy, aby nie rozchwiała one gospodarki. Faktem jest, że wiadać już obecnie cykliczną prawidłowość załamania naszej ekonomiki. Bardzo ważne jest jednak to, że robotnicy wyciągali z tych załamów coraz trafniejsze wnioski, gdyż klasa robotnicza odczuwała najbardziej bolesne skutki tych załamów.

— Dlaczego nie rolnicy, skoro ich dochody, liczone na głowę ludności, są niższe od miejskich? Lub dlaczego nie inteligencja, której niektórzy członkowie, np. nauczyciele czy pracownicy kultury, otrzymują zarobki znacznie niższe od średnich w kraju?

— Chłopi rzeczywiście najszybciej reagują na kryzysy, lecz są oni jedynie pośrednio włączeni do gospodarki planowanej — przez kontrakcje, skup, związki spółdzielcze itd. Dlatego prowadzą własny rachunek ekonomiczny. Nie mogą być planowo deficytowi, jak PGR-y, latami utrzymywane z dotacji państwowych.

— Czyli oni właśnie powinni najbardziej odczuwać skutki recesji.

— Odczuwają je najszybciej, ale też w ich rękach spoczywają mechanizmy zaradcze. Jeśli na przykład rosną ceny środków produkcji: maszyn, pasz czy nawozów, to mogą reagować dwójako — albo podnosić ceny swoich produktów...

— ...co aktualnie czynią, bo kilogram cielęciny kosztuje w Warszawie około 130 złotych.

— ...albo też ograniczają produkcję, co też robią. W ubiegłym roku, jak słyszałem, para prosiat kosztowała dwa i pół tysiąca złotych i było je trudno dostać, w tym roku kosztuje tysiąc i jest o nie łatwo, bo rolnicy nie chcą ich hodować. Natomiast inteligencja rozwiązuje sprawy na własną rękę. Jest to zresztą grupa mocno zróżnicowana. Medycy, prawnicy, inteligencja twórcza, mają dochody wysokie, nieraz bardzo wysokie. W tej grupie mieści się też aparat władzy: administracyjnej, gospodarczej i politycznej. Jedni liczą na awans, inni na przywileje. W najgorszej sytuacji są szeregowi pracownicy umysłowi, nie zorganizowani i nie uprzywilejowani. Ci mogą tylko czekać, mówiąc brutalnie, iż robotnicy załatwią im poprawę warunków życia. Natomiast robotnicy niczego sobie indywidualnie nie załatwią, gdyż jeśli istnieje między nimi zróżnicowanie w płacach, to tylko branżowe. Nie mogą też liczyć, jak to było niegdyś, że wybiją się i wyrwą ze swojej klasy. Wyjście z klasy robotniczej jest obecnie możliwe jedynie przez oświatę, a to długa i ciernista droga. Pułap awansów w obrębie własnej klasy jest przy tym niski — brygadziści najczęściej, znacznie rzadziej majstrzy. Majstrami zostają już coraz częściej inżynierowie. Pozostaje więc jedynie awans w obrębie grup zarządczych. Gdy się je wyczerpie nie ma już innych środków poza wystąpieniem zbiorowymi, poprawiającymi sytuację całej klasy. Trzeba przy tym pamiętać, że klasa robotnicza samoodtwarza się. Im młodszy robotnik, tym większy procent robotników pochodzi z klasy robotniczej.

— To źle? Zazdrościmy przecież krajom wysoko uprzemysłowionym tradycji robotniczych.

— Ale nie chodzi o to, że ktoś jest w siódmym pokoleniu ślusarzem, lecz że już siedem czy dziesięć pokoleń pracuje w przemyśle. Zawsze byłem przeciwny nawoływaniom górników do płożenia górników, bo takie koncepcje oznaczają stagnację społeczną. Są niesprawiedliwe. Nie są to przecież propozycje dla ludzi z niższych szczebli drabiny społecznej. Minister napewno byłby zadowolony, gdyby jego syn miał pewność, że zostanie ministrem, ale śmieciarz nie chce wykiełkować syna na śmieciarza. Ta wsteczna i błędna, moim zdaniem, teoria rodziła się ze strachu menadżerów, że oświeceni robotnicy nie zechcą pracować w takich warunkach, jakie im oni tworzą. Stąd takie zdziwienie, że w wydarzeniach na Wybrzeżu uczestniczyło tak dużo młodzieży. Zaskoczenie nie tylko zresztą władzy, ale i nauki, i pracowników frontu ideologicznego, a więc także dziennikarzy.

— Ci młodzi robotnicy, wykształceni lepiej niż ich ojcowie, udowadniają, że oświeconymi trudniej jest rządzić, nie dają się tak łatwo „wykołegować”.

— Wkroczyli na arenę polityczną robotnicy urodzeni i wykształceni w socjalizmie, wychowani przez dwumilionową organizację młodzieżową. Okazało się, że właśnie oni, młodzi

penetracje



wizerunek robotnika

O zaskoczeniu władzy, trudnościach rządzenia oświeconymi i wspólnocie przeżyć społecznych, z prof. dr. hab. Janem Malanowskim z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, rozmawia Alicja Basta.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

26 września odwiedził nas rolnik-specjalista ze wsi Wiśniewo w gminie Zambrów, Stanisław Rawa wnosząc poprawkę do swojej wypowiedzi, jakiej udzielił nam w „Punkcie Widzenia” („Kontakty” nr 13 — Czasu na załatwianie nie tracić). Zdanie sformułowane przez dziennikarza brzmiało: „Trzeba mieć albo naczelnika w kieszeni, albo kogoś znajomego blisko wojewody”. Stanisław Rawa stwierdza, iż sformułowanie to, aczkolwiek nieraz słuszne, nie może odnosić się do gminy Zambrów. — Za takie mówienie — powiedział — gotowi są płać mnie ukropem, którego — na szczęście — jeszcze nie mają. W obawie przed popadnięciem w nadmierne kłopoty w załatwieniu swoich spraw prosi o wycofanie takiego stwierdzenia dodając, iż podczas poprzedniej wypowiedzi nie miał na myśli gminy Zambrów.

☆

W 13 numerze „Kontaktów” podałyśmy mylną informację o przestojach w pracy na terenie Zakładu Mleczarskiego w Kolnie. Były one spowodowane czynnikami zewnętrznymi a nie strajkiem — jak napisaliśmy. Tamtejszą załogę oraz Czytelników przepraszamy.

☆

Wojewódzki Zakład Energetyki Ciepłej w Łomży prosi o sprostowanie notatki zamieszczonej w 13 numerze „Kontaktów” na drugiej stronie Tygodnika. W notatce zawarta jest informacja następującej treści: „Najdłużej nie pracowano w WZEC, bo aż od 3 do 8 września”. Treść zacytowanej notatki nie odpowiada w pełni prawdzie. W podanym okresie nie pracowało tylko 10 kierowników działu transportu, co stanowi zaledwie 3,3 proc. stanu załogi.

☆

Z przyjemnością informujemy, że dzięki inicjatywie dyrektora Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Szczuczynie, Jarosława Sarnackiego utworzono przy tym Ośrodku Klub Brydża Sportowego „Błotka”. Grono miłośników brydża w naszym mieście stale wzrasta, a w tej chwili Klub skupia już 36 osób. Korzystając z gościnności MGOK-u spotykamy się w każdy czwartek na tzw. seansach brydżowych. Rozgrywamy również turnieje z miłośnikami brydża z Grajewu.

Kończąc, mamy propozycję, aby Szanowna Redakcja rozpatrzyła możliwość utworzenia w dziale rozrywek umysłowych kącika brydżowego.

W imieniu
członków Klubu
MARIAN MIECZKOWSKI
Prezes

☆

W związku z artykułem „Kto obroni dyrektora” uprzejmie proszę o sprostowanie częściowej zmiany sensu i treści moich wypowiedzi. Zdanie: „założenia były inne — że wypracujemy więcej i tę nadwyżkę podzielimy” winno brzmieć: „założenia były inne, że nie tylko lepiej podzielimy to, co już możemy, ale wypracujemy więcej i tę nadwyżkę również rozsądnie podzielimy”. Podobnie nie użyłem zwrotu, że dozorca „chodzi najczęściej pijany”. W autoryzowanym tekście inne było również samo zakończenie.

KRZYSZTOF WAWRZYŃKOWSKI
Łomża



racji nowego przywódcy. Jak duża musiała być obecnie samowiedza społeczna, skoro doszło do takiego rozwiązania. Trudno znaleźć wymowniejszy przykład upominania się o interesy ogólnonarodowe, jak wypowiedź robotnika z Gdańska, gdy mówił, że dzisiejsza cenzura nie pozwoliłaby wydawać utworów Mickiewicza i Słowackiego, gdyby żyli obecnie. Klasa robotnicza udowodniła, że jest świadoma swoich interesów i co ważniejsze, że czuje się odpowiedzialna za kraj. Najpełniej reprezentowała interesy społeczne i ogólnonarodowe właśnie teraz, w ostatnim przełomie.

— Okazało się też, że jest to jedyna siła zdolna reprezentować je skutecznie.

— Wynika ona z liczebności klasy robotniczej, to rzecz jasna, gdyż jest najliczniejszą klasą społeczną w Polsce, posiadającą przy tym duże zdolności samoorganizowania się. Duże zakłady reprezentują dużą siłę fizyczną. Ale przede wszystkim mają podobne myśli i są solidarni — w tym ich siła. Wyegzekwowanie niezależnych związków zawodowych jest tego najlepszym dowodem.

— Niezależne związki zobowiązały się jedynie do ochrony interesów pracowników, a tymczasem oczekiwania wobec nich są znacznie szersze. Liczy się przecież powszechnie na to, że staną się gwarancją niepowtórzenia poprzednich błędów. Czy mają wobec tego szanse wypełnienia takiego zadania?

— Mają, ale pod warunkiem, że interesy pracownicze zinterpretuje się szeroko. Nie może chodzić tylko o płace, premie, bhp czy wczasy. Interesem pracowniczym nie jest bowiem jedynie wpływanie na podział tego, co istnieje, ale wpływanie także na to, co zostanie wytworzone. A zatem nie tylko jak, komu, ile i kiedy z tego co już istnieje, ale także jak i co wytwarzać. Taka rozszerzona interpretacja interesów robotniczych oznacza wszakże nie tylko przywileje, ale i współodpowiedzialność. Trzeba by było współdziałać z władzą w opracowaniu strategii rozwoju kraju i przyjąć potem współodpowiedzialność za jej realizowanie.

— Obawiam się, że przypisujemy klasie robotniczej i jej niezależnej reprezentacji swoje nadzieje, bardzo wysokie obecnie. Czy jednak mogą one automatycznie niejako je wykonywać mimo niebezpieczeństw, które „rozłożyły” ich poprzedników?

— Takim niebezpieczeństwem jest odejście od zasad demokratycznego działania. Trzeba o tym pamiętać zawsze, właśnie dlatego, że nadzieje i potrzeby są tak wysokie.

— Panie Profesorze, dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÖRINCZY

zgodnia te egalitarne dążenia prognoza rozwoju plac i ich rozpiętości do roku 2000, opracowana na początku lat 70-tych. Przewidywano wówczas zredukowanie ówczesnych rozpiętości plac i doprowadzenie ich do proporcji 1:5. Najniższa płaca miała wynosić w dwutysięcznym roku 5 tysięcy złotych, najwyższa — 25 tysięcy. W ciągu jednego 10-lecia utworzyła się grupa ludzi, która dawniej przekroczyła pułapy plac końca obecnego wieku i żyje już w wieku XXI. A z drugiej strony najniższa płaca doszła w bieżącym roku do 2000 złotych, co oznacza, że znajduje ona się poniżej minimum socjalnego, które było określane na początku br. na 2500 zł. Warto przy tym pamiętać, że prognozy nie uwzględniały tej galopującej inflacji, jaką mamy ostatnio.

— Powiedziałam na początku, że przeciętny Polak czuł, że wybuch musi nastąpić. Władze nie uczestniczące we wspólnocie przeżyć społecznych, nie miały prawdopodobnie takich przeżyć. Czy jednak wy, socjologowie, wywiązaliście się ze swoich zadań w dziedzinie badania nastrojów społecznych? Czy władze otrzymywały wypisane czarno na białym ostrzeżenia?

— Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Radiokomitecie prowadzi powtarzające się badania stanu zadowolenia społecznego. Od kilku lat sygnalizował, że spadło ono poniżej poziomu z 1970 r. Wyniki tych badań nie były publikowane, ale władze je otrzymywały. Dostawały także ekspertyzy „Komitetu i Polska 2000”. Była wspaniała ekspertyza na temat energetyki i zasobów surowcowych, na temat rolnictwa i wyżywienia, o stanie zdrowia narodu, o demografii, na temat budownictwa i szkoliwości niektórych materiałów budowlanych, na temat 10-latki. Ja sam uczestniczyłem w opracowaniu dwóch raportów, przygotowanych przez konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość”, o stanie Rzeczypospolitej i o sposobach jej naprawy. Zostały one także dostarczone władzom najwyższym i zapewne, jak pozostałe, powędrowały do sejfów. Nauce można, oczywiście, postawić różnorodne zarzuty, ale prawda jest taka, że jej sygnałów nie brano pod uwagę.

— Z tego wniosek, że lato 80 nie powinno było być dla nikogo zaskoczeniem, natomiast jego przebieg był nieoczekiwany.

— Od pewnego czasu było wiadome, że każda próba podwyżki cen kończy się strajkiem. Czerwcową podwyżka cen mięsa była więc iskrą, ale dalszy ciąg przeszedł wszelkie oczekiwania. Mnie osobiście zaskoczył stopień uporu i forma zakończenia strajku. Sięgnięto po ostateczny środek pokojowy, po umowę. Dowodzi to jak wielki był stopień nieufności do władzy. W poprzednich kryzysach dochodziło do zmiany ekipy i dekla-

robotnicy są bardzo wrażliwi na wypracowania socjalizmu. Analizując ich dążenia widzi się, że sięgnęli do socjalistycznej, a zapomnianych w ostatniej dekadzie. Dla mnie jest to optymistyczne, że klasa robotnicza upomniała się o takie podstawowe idee jak równość i sprawiedliwość, których miejsce zajęła w ostatnich latach ideologia „socjalistycznego lesseferyzmu”.

— Pisał pan o tych nowych tendencjach przed kilku laty, przestrzegając przed odrodzeniem się drobnomieszczaństwa w aparacie władzy.

— Znacznie wcześniej, bo w połowie lat 60-tych pisałem o zaznaczających się dążeniach antyegalitarnych. Uczestniczyłem we wszystkich, burzliwych dyskusjach z końca ubiegłego dziesięciolecia na temat egalitaryzmu.

— Dla zupełnej jasności proszę jednak wyjaśnić, co Pan Profesor rozumie pod pojęciem egalitaryzmu. Czy dla wszystkich po równo?

— Jest to najbardziej prymitywne pojmowanie egalitaryzmu, w historii głoszone tylko dwukrotnie: w czasie Komuny Paryskiej i w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej. Taki egalitaryzm jest w gruncie rzeczy antyegalitarny, gdyż nie uwzględnia ludzkich zdolności i cech charakteru, np. pracowitości. Taki egalitaryzm nigdy u nas nie był głoszony, nie grozi nam więc „urawniłowka”, przed którą tak dzielnie bronili się ci, którzy ładnie się na socjalizm dorabiali. Tendencja antyegalitarna jest dla nas groźna, ponieważ znalazła się nader liczna grupa piewców zbawiennej roli pogłębiania się zróżnicowania społecznego. Chodziło o to, że ta grupa ludzi, i to w samej partii, trzeba powiedzieć, szybko bogacących się, potrzebowała teoretycznego uzasadnienia pędu do bogactwa, usprawiedliwiającego ją w oczach społeczeństwa. Przyszły im z pomocą burżuazyjne koncepcje — o czym przypuszczam, nie wiedzieli — o bodźcowej roli wysokiego różnicowania plac. Nawiasem mówiąc te koncepcje zostały poddane krytyce przez postępowych socjologów zachodnich. Powodów lata 80 było, oczywiście, wiele ale dwa były ze sobą ściśle związane: coraz szybsze ubożenie społeczeństwa spowodowane inflacją i równie szybkie tworzenie się warstwy bogaczy. Dokładnie sprawdził się przykład opisany przez Marksa: dopóki człowiek mieszka w małej, biednej chatce, ale w sąsiedztwie innych biednych chattek, nie odczuwa tak bardzo swojej biedoty, jakby ją czuł wówczas gdyby mieszkał obok pałacu. Otóż nam postawiono te palce.

— Czy socjologia wykazywała niezadowolone społeczne z tego powodu?

— Badania udawały, że nasze społeczeństwo jest przeciwne wielkim rozpiętościom społecznym. Uw-



i odkryta będzie na nowo każda radość poranka...

Przyznanie Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla jest wielkim aktem sprawiedliwości moralnej. Należy on do tych poetów, których twórczość zawsze wysoko cenilem. W chwilach trudnych w moim życiu, przychodziło mi często do niej powracać, szukać w niej dnia, który przezwyciężał rozpacz nocy. Jego poezja jest czystą liryką — źródłaną wodą, w której można znaleźć ukojenie.

Twórczość Czesława Miłosza fascynowała mnie od dawna, stale powracam do tych wierszy, w których odnajduję ciągle nową postać przemijającego świata. Z chwilą, gdy w dzienniku telewizyjnym usłyszałem komunikat o przyznaniu mu Nagrody Nobla, nie byłem tak całkowicie zaskoczony. W środowisku literackim mówiło się o tym od lat. I teraz, słuchając jego wierszy, wracam myślą w połowę lat 60-tych, kiedy to po raz pierwszy spotkałem się z tą niezwykłą poezją. W czytelniku podano mi dwa tomiki jego wierszy. Długo zastanawiałem się, od którego zacząć lekturę. Wybór padł na „Traktat poetycki”. Zapomniałem o czasie. Chciałem obcować z tą poezją jak najdłużej, zabrać te książki ze sobą, nauczyć się choćby kilku z tych wierszy. Mocno zapadły mi wtedy w pamięci tylko pierwsze wersy „Traktatu poetyckiego”.

Mowa rodzinna niechaj będzie prosta.
Ażeby każdy, kto usłyszy słowo
Widział jabłonie, rzekę, zakręt drogi,
Tak jak się widzi w letniej błyskawicy.

Później, ilekroć byłem w Warszawie, wracałem do twórczości autora „Miasta bez imienia”. Wiersze Czesława Miłosza zadziwiał mnie swoją klarownością i umiarem. Więcej w nich racjonalizmu z Oświecenia niż snów i marzeń romantyków. Ale ta poezja ulegała ciągłym przemianom. Z jednej strony pojawiały się wiersze o tematyce współczesnej — najwięcej ich w „Ocaleniu” — a z drugiej — koronkowe stylizacje Renesansu i Baroku. Często w jego twórczości natrafiałem na poematy historyczne i geograficzne. I chociaż poeta zwiedził pół świata, czas w jego wierszach zatrzymał się w miejscu dawno przez niego opuszczonym — Wilnie, które było miastem jego młodości. W jednym ze swych wierszy pisze:

Nigdy od ciebie, miasto, nie mogłem odjechać
Długa była mila ale cofało mnie jak figurę w szachach.
Uciekałem po ziemi obracającej się coraz prędzej
A zawsze byłem tam: z książkami w płóciennym torbie...

Żyję pod urokiem malarstwa jednego z największych artystów Piotra Breughela. Pamiętam nastrój w jakim czytałem poemat „Gucio zaczarowany”. Nie miałem przy sobie kartki aby przepisać ten poemat. Na skrawku gazety odnotowałem wtedy trzy wersy, w których Miłosz zawarł tak wiele...

Zarzucono mu, że ożenił się z jedną kobietą a żyje z inną
Gdzie czas — odpowiadał — na głupstwa, rozwód i tak dalej
Ledwo człowiek wstanie, machnie parę razy pędzlem, a już wieczór.

Ledwo „machnie parę razy pędzlem a już wieczór” — jak znakomicie w tych kilku słowach zaledwie pokazał trud artysty. Wyobraźnia bowiem jest mądrością poety. Zazdrościłem mu tej wyobraźni.

Czas w poezji Miłosza ma dwa oblicza: jedno — to czas rzeczywisty, drugie — to jego iluzje. Poeta jednak zawsze wyraźnie określa, co w naszym świecie jest stałe, a co podlega nieustannym zmianom. Do trwałych wartości zalicza elementy kosmiczne: „obłoki co jak płynęły tak płyną” czy „siłę, która spaja mężczyzn i kobiety”. Poezja poety — wędrowca, poety — wygnaniec to jednak przede wszystkim (jak każda wielka poezja) odbicie nieustannego poszukiwania, błędzenia i wędrowki.

I odkryta będzie na nowo każda radość poranka.
Każdy smak jabłka zerwanego w wysokim sadzie.

Tak więc świat, mimo stałych przemian, pozostaje w swej esencji niezmieniony. „Człowiek — jak pisze o Miłoszu jeden z poetów — więc być może nie jest przypadkowo powstałym pyłkiem nic nie znaczącym we wszechświecie, lecz raczej niezbędnym ogniwem w pochodzie ludzkich pokoleń”. I to jest chyba największa wartość tej poezji, bez której trudniej nam byłoby dzisiaj egzystować.

Laureat nagrody literackiej Nobla urodził się 30 czerwca 1911 roku w Sztejnianach na Litwie. Do szkoły chodził w Wilnie i tam również na Uniwersytecie ukończył wydział prawa. Debiutował mając lat 19, publikując swoje poezje na łamach czasopisma „Alma Mater Vilnensis”. Był współtwórcą grupy literackiej „Zagary”, która miała duży wpływ na kształtowanie się polskiej awangardy. Pierwszy tom jego wierszy „Poemat o czasie zastępnym”, wydany w roku 1933, przyniósł mu nagrodę wileńskiego Związku Literatów i stypendium umożliwiającego studia w Paryżu w latach 1934—1935. Drugi tom wierszy ukazał się trzy lata potem, również w Wilnie, pt. „Trzy zimy”.

W latach 1936—39 pracował w dziale literackim Polskiego Radia w Wilnie i w Warszawie. Okres wojny zapisał działalnością w podziemiu kulturalnym walczącej Polski. W latach 1945—49 pracował w polskiej placówce dyplomatycznej w Waszyngtonie, a następnie przez rok w Paryżu, gdzie był attaché kulturalnym ambasady polskiej. W roku 1951 podejmuje decyzję pozostania poza granicami kraju. Dla każdego twórcy wybór taki pociąga za sobą oczywiste, tragiczne konsekwencje. Nazwisko jego znika ze szpalt gazet, książki nie pojawiają się już na księgarskiej ładzie. Mimo to podejmuje się trudu napisania historii literatury polskiej dla cudzoziemców, pisze i wydaje poza granicami kraju coraz to znakomitsze książki.

Przez dziesięć lat współpracuje z Instytutem Literackim w Paryżu. W roku 1960 Czesław Miłosz zostaje zaproszony przez Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley na wykłady literatury polskiej, gdzie pozostał już na stałe. W roku 1974 otrzymał nagrodę polskiego Pen-Clubu za tłumaczenie poezji. Jest doktorem h.c. michigańskiego uniwersytetu Ann Arbor.

Do najpopularniejszych tomików poezji Czesława Miłosza należą: „Ocalenie”, „Światło dzienne”, „Traktat poetycki”, „Król Popiel i inne wiersze”, „Gucio zaczarowany”, „Miasto bez imienia”, „Gdzie wschodzi słońce i kedy zapada”. Jest autorem powieści, esej krytyczno-literackich.

Przyznając Czesławowi Miłoszowi Nagrodę Nobla Akademia Szwedzka opublikowała komentarz w języku polskim, w którym m.in. czytamy: „Jest on zarówno w sensie fizycznym jak i duchowym pisarzem — emigrantem, obcym, dla którego fizyczna emigracja jest w gruncie rzeczy tylko odbiciem metafizycznego czy wręcz duchowego wygnania, w sensie ogólnoludzkim. Świat, który Miłosz pokazuje w swej poezji, prozie i esejach jest światem, w którym człowiek żyje od czasu wygnania go z raju”. I dalej: „Uchodźź za wybitnego artystę słowa. Twierdzi się, że treść jego wierszy może pojąć w pełni tylko ten, kto czyta je po polsku”.

JAN KULKA



Szedłem dzisiaj przez ogród

Szedłem dzisiaj przez ogród od wiosny zamglony
alejami skąd widać ulicę zwaliską.

Wiatr tu rozwiewa murów popalonych złomy,
skrzypi żwir. Kropla deszczu z drzew na czoło pryska.

Jakieś pary na szczątkach ławek. Niebo chmurne.

W taką wiosnę przystanąć, na ścieżce rysować
i z myśli wszystkich wrogich, walących się szturmem
jedną wybrać, jak łódkę wiozącą przez powódź.

Więc myślałem kim jestem. Jestem człowiek nagi,
co nie miał i nie ma, choć wszystkiego czeka.

I dziwi się, skąd w oczach mu tyle powagi,
skąd upór i skąd w sercu płomienista rzeka.

Myślałem dalej: jestem sam sobie nieznany,
co z mozołem opowieść trudną w sobie czyta,

jak ktoś, kto jadąc poprzez oceany
ziemię widzi i nie wie jak ta go przywita.

Wiary żadnej nie pragnę. Nie słabość mi każe
tak całą dumę ludzką spokojnie odrzucić.

Pole gdy je sierpowi stratuja żniwiarze
też długo leży puste, choć ma głosem wrócić.

Wolno mi tylko mówić, jak można najprościej,
to czego dotknie ręka i zobaczą oczy.

Dzień każdy, kamień głuchy w wielką toń przyszłości
i milcząc na chleb czarny pracują prorocy.

Wiem, że można rycerskość, męstwo i niezłomność
złożyć i zamknąć w metrze kwadratowym ziemi.

Żadne się pokolenia o to nie upomną
i ani krzyż ni pomnik mogił nie oceni.

Bogi wszystkie zawodzą. Zostawmy w spokoju
religie, co dzwonami wśród sztandarów huczą.

A kiedy barbarzyńcy miecz ogniem uzbroją
z nim razem pobitym pieśń śpiewają kruczą.

Doczesna zemsta ludzi i niebieska bogów —
obie nade mną wiszą. Która gorsza, nie wiem.

I cień swój w nocy widzę i stoję na progu,
a mój dom za mną drzącym dogasa zarzewiem.

Tylko cierpliwie czekam, aż we mnie wyrosną
nowe ziarna, aż nowe mnie obmyją świty.

I na pochmurnej ścieżce tak witam się z wiosną
z głową spuszczoną idąc przez ogród rozbity.

1941, Warszawa



Specjalizacja w rolnictwie to nie moda. To nie jest hasło, które jeszcze przed kilku laty w środkach masowego przekazu powtarzano w różnych przypadkach, uzupełniając je informacjami o „cudownych” odmianach — perko i heracleum Sosnowski, które miały zbawić nasze rolnictwo. W Łomżyńskim rolnicy będą w dalszym ciągu się głównie żywić, owies i sadzić ziemniaki, bo takie mamy gleby jakie mamy, bo taki jest klimat. I wcale nie od tego, czy jęczmień będzie się miał o kilka procent więcej, zależy wzrost produkcji rolnej. O jej wzroście rozstrzygnie, czy rośliny te, sprawdzone i dostosowane do naszych gleb będą wyżej plonowały i jak potrafimy to co urosło w polu najbardziej efektywnie przetworzyć na mięso i mleko.

Kto ma to robić?

Ani żesmy się obejrżeli, gdy w rolnictwie łomżyńskim (przy obecnym wyposażeniu technicznym) czynnikiem najbardziej ograniczającym wzrost produkcji stała się siła robocza. Świadczy o tym chociażby cena dniówki, która osiągnęła równowartość jednego kwintala zboża. Wstępne wyliczenia z danych spisu powszechnego wskazują, że na jedno gospodarstwo powyżej 10 hektarów (a gospodarstwa te zajmują prawie 7 proc. całości użytków rolnych) przypada średnio 2,2 osoby w wieku produkcyjnym. A pamiętajmy, że jest to średnia, i że w tym mieści się osoba, która musi poświęcić sporo czasu na prowadzenie gospodarstwa domowego. Jeśli to uwzględnimy to okaże się, że w tych gospodarstwach zasoby siły roboczej są prawie na poziomie wskaźnika w społecznym sektorze rolnym przy jednoczesnym znacznie niższym wyposażeniu w technikę. Stąd też pogląd, że postęp w agrotechnice jest niewielki lub wręcz występuje regres, jest uzasadniony. Kto bowiem ma chodzić za plugiem? Orząc końmi hektar ziemi rolnik musi przejechać 40 kilometrów, a każdy hektar, nie licząc innych upraw, trzeba zorać przynajmniej dwa razy w roku. A ludzi ze wsi ubywa i ubywać będzie. Pomimo ograniczeń zatrudnienia w gospodarce pozarolnej, górnictwo, budownictwo i wiele innych działów gospodarki narodowej wciąż poszukuje ludzi do pracy. Natomiast w gospodarstwie rolnym przychodzi taki czas, że staje ono w miejscu. Nie do przodu. Nie starcza sił. Wiciorz styka się z rankiem i coraz mniej czasu na odpoczynek. Obecny obraz wsi jest zupełnie inny niż ten, jaki wynieśli ze swej młodości obecni czterdziestolatkowie, kiedy to w jednym gospodarstwie było na ogół do roboty pięć i więcej osób dorosłych.

Pół miliona za rolnika

Wiadomo, że im mniej ludzi, tym więcej powinno być techniki. Nie jest to odkrycie. Ekonomisci wyliczyli, że aby zastąpić jedną osobę ubywającą z rolnictwa, trzeba dostarczyć techniki za około pół miliona złotych. A tu przecież nie chodzi tylko o zastąpienie! Powstaje zatem dylemat: jak wprowadzić technikę do takiego „ogrodu zoologicznego”. Jak wyposażić gospodarstwo w maszyny i narzędzia, kiedy w polu jest „wszystkoizm”. Trzeba zmniejszyć ilość gatunków zwierząt, uprościć strukturę zasiewów, trzeba do nowoczesnej techniki dostosować nową organizację produkcji w gospodarstwie, czyli inaczej mówiąc wybrać specjalizację.

Czy jest to wymysł polski, łomżyński? Nie. Jest to obiektywne prawo rozwoju w przemyśle i rolnictwie. Gdybyśmy nie pisali, nie mówili ani słowa o tym, to i tak gospodarstwa upraszczałyby produkcję, wybierałyby specjalizację. Dowodów na to można znaleźć dużo. Jeśli o tym mówimy, opracowujemy programy, szkolimy służbę rolną, jeśli stwarzamy pewne preferencje to po to, żeby te procesy przyspieszyć.

Przed wszystkim dlatego, żeby wzrastała wydajność ludzi pracujących w rolnictwie, żeby rosła produkcja i jej jakość, żeby wzrastał dochód rolników, który jest podstawą poprawy warunków życia i rozwoju gospodarstwa. A to przecież leży w interesie nas wszystkich.

Proces przekształcania gospodarstwa, jego wyposażenia w technikę jest trudny, kosztowny i trwa kilka lat. Trzeba bowiem wybrać najbardziej trafny kierunek upraw i określić rodzaj produkcji zwierzęcej, do-

stosować do tego istniejący obiekt inwentarski, bądź zbudować nowy, skompletować odpowiednie stado zwierząt. W każdym z tych działań musi być nowoczesność, perspektywa. Weźmy dla przykładu budynek inwentarski. Nie zawsze zdajemy sobie sprawę (i rolnik też nie zawsze dostrzega fakt), że podejmując budowę chlewni lub obory, decydując się na wysoki, sięgający dzisiaj ponad milion złotych wydatek, wznosi budynek, który ma służyć daleko po roku dwutysięcznym. Nie można zatem nie uwzględnić tego faktu, szczególnie dzisiaj, kiedy wszyscy wiemy, że rolnictwo indywidualne weszło w okres bardzo szybkich przeobrażeń. Tego nie można zgubić przy krzataninie wokół pilnych spraw dzisiejszych. Na jednym ze spotkań rolnik miał wielki żal, że kilka lat temu wydano mu pozwolenie (zresztą zgodnie z jego życzeniem) na budynek, który dzisiaj nie zdaje egzaminu i nie można go do tego jeszcze zmodernizować. Prezentował pogląd, że jeśli rolnik nie daje się przekonać, trzeba wręcz nie pozwolić mu na taki wydatek. Jest to bowiem nie tylko strata własnych pieniędzy, ale także wydatek nie obojętny ze społecznego punktu widzenia. Można jednak prawidłowo doradzić tylko wtedy, kiedy szczegółowo przeanalizuje się gos-

cji mleka. Otóż zazwyczaj w takich przypadkach stado krów docelowo ulega podwojeniu. Jeśli dziś rolnik zechce kompletować stado, a przy tym chce mieć sztuki dobrej jakości, nie idzie na targ i nie kupuje potrzebnej ilości. Dobre krowy prawie nie występują w handlu. Rolnik sprzedaje krowę na ogół w sytuacji krytycznej. Dlatego też oczekiwany przyrost musi być wyhodowany w gospodarstwie od cielęcia. A żeby cielę stało się krową dojną, trzeba prawie trzech lat. Krótszy jest cykl w trzodzie i owcach. I dalej, jeśli dziś rolnik zdecydował, że dla poprawy bilansu paszowego powinien zwiększyć produkcję okopowych, to zasieje je wiosną przyszłego roku, zbierze jesienią, a efekt z tego w produkcji uzyska za dwa lata.

Czym koszłem?

Redaktor Zieliński w artykule „Specjalizacja na dyszlu” („Kontakty” — nr 14) pisze: „Nie brak jednak sceptyków, którzy pytają: Ciekawe jakie efekty osiągnęłyby rolnictwo gdyby zamiast formowania tych gospodarstw, trochę ciepłej, a zarazem hojniej potraktować mniejsze gospodarstwa, które, koniec końców, przede wszystkim decydują o łomżyńskiej produkcji rolnej”. I dalej: „Nie ma odwrotu od specjalizacji. Jest natomiast coraz powszech-

specjalizację trzeba zrozumieć

podarstwo, kiedy wspólnie z rolnikiem rysuje się przyszły kierunek i skalę produkcji specjalistycznej. Prawidłowe urządzenie budynku inwentarskiego o takich walorach zoohigienicznych jak: mechaniczny udół, usuwanie obornika, dostawy wody, wyposażenie w niezbędne urządzenia do przygotowania i zadawania pasz (co w zasadniczy sposób zmniejsza pracochłonność i poprawia jakość produkcji). Dla każdego gatunku zwierząt konieczne są inne urządzenia, inne cechy budynku. Nie stać nas na to, żeby w jednym gospodarstwie instalować takie urządzenia dla kilku gatunków zwierząt.

Czy w tej sytuacji wielokierunkowe gospodarstwa są złe widziane? Absolutnie nie. Co więcej, mogą mieć one nawet wyższą produkcję od wyspecjalizowanych; są mniej narażone na zmiany koniunkturalne i wahania pogody. Ale prosperować będą tylko w przypadkach posiadania dużych zasobów siły roboczej, a z tą (jak już wcześniej napisałem) nie jest najlepiej w naszych gospodarstwach.

Komu potrzebna jest karta?

Wbrew powszechnemu mniemaniu, gospodarstwo już wyspecjalizowanemu, posiadającemu nowoczesne budynki i maszyny, karta gospodarstwa specjalistycznego jest najmniej potrzebna. Konieczna jest ona takiemu, które decyduje się na rozpoczęcie wdrażania specjalizacji, czyli jest jeszcze na początku drogi. Powinno ono mieć opracowany projekt przekształcenia gospodarstwa z wielokierunkowego na wysokowydajne gospodarstwo specjalistyczne. W tym projekcie zapisane zostaje wszystko to, co w gospodarstwie trzeba wybudować, w jakie maszyny wyposażać, jak zorganizować produkcję polową i jakich efektów produkcyjnych można po realizacji tego projektu oczekiwać. Podpisuje taki projekt z jednej strony rolnik a z drugiej naczelnik gminy. Każda ze stron z zobowiązań tych powinna się wywiązać. Stąd ilość gospodarstw, które mogą otrzymać kartę, jest limitowana możliwościami gminy w zakresie przydziału środków produkcji.

Często na skutek niezrozumienia problemu można spotkać się ze stwierdzeniem: „dostał w tym roku kartę gospodarstwa specjalistycznego, a jego produkcja niczym się nie wyróżnia”. To prawda. Bo jest on dopiero na początku drogi. Już same cykle produkcyjne w rolnictwie powodują, że wszelkie zmiany zachodzą pozornie bardzo wolno. Żeby wyraźnie na czym to polega, rozpatrzmy przykład gospodarstwa, które podjęło specjalizację w produk-

cji mleka. Otóż zazwyczaj w takich przypadkach stado krów docelowo ulega podwojeniu. Jeśli dziś rolnik zechce kompletować stado, a przy tym chce mieć sztuki dobrej jakości, nie idzie na targ i nie kupuje potrzebnej ilości. Dobre krowy prawie nie występują w handlu. Rolnik sprzedaje krowę na ogół w sytuacji krytycznej. Dlatego też oczekiwany przyrost musi być wyhodowany w gospodarstwie od cielęcia. A żeby cielę stało się krową dojną, trzeba prawie trzech lat. Krótszy jest cykl w trzodzie i owcach. I dalej, jeśli dziś rolnik zdecydował, że dla poprawy bilansu paszowego powinien zwiększyć produkcję okopowych, to zasieje je wiosną przyszłego roku, zbierze jesienią, a efekt z tego w produkcji uzyska za dwa lata.

Nie trzeba mieszać dwóch odrębnych pojęć tj. specjalizacji, przez którą rozumiemy organizację produkcji, z problemem braku równowagi na rynku środków produkcji. Jeśli przyjęto zasadę rozdzielnicztwa deficytowych środków produkcji opartą o kryterium efektywności wykorzystania, to siłą rzeczy wszystkim nie starczy. Nie można stosować zasady, że jednemu ciągnik, drugiemu plug. Mechanizacja prac w polu powoduje zwiększenie produkcji roślinnej i tworzy warunki do wzrostu produkcji zwierzęcej, co powoduje konieczność modernizacji, bądź budowy obiektu inwentarskiego. Innymi słowy w gospodarstwie, które wychodzi z tradycyjnych form produkcji rolnej następuje lawinowy wzrost potrzeb.

Jeśli już zastanawiamy się nad przyczynami niedoboru środków produkcji dla wszystkich gospodarstw, to warto na marginesie powiedzieć, że w latach 1976—80 z ponad siedmiu tysięcy ciągników jakie zakupili rolnicy, do gospodarstw specjalistycznych trafiło tylko około dwa i pół tysiąca, zaś spośród tysiąca budynków inwentarskich stawianych przeciętnie każdego roku tylko jedna piąta powstaje w gospodarstwach specjalistycznych. Wępie tutaj pies pogrzebany.

Handel z łaski

W ostatnich latach szczególnie dotkliwie daje się na wsi we znaki niedobór środków produkcji. Trudno dzisiaj wymienić już czego brakuje. Jest to bowiem bardzo długa lista. W minionych dwóch latach w grupie materiałów budowlanych najbardziej deficytowym towarem stał się cement i armatura, a spośród technicznych — takie proste narzędzia jak: plugi, brony, przetrząsaczko-zgrabarki, roztrzaskacz obornika. Warto tu zauważyć, że brak jednego asortymentu, uniemożliwia pełne wykorzystanie pozostałych środków produkcji. Tak drastyczny brak równowagi rynkowej w środkach produkcji, stwarza wprost idealne warunki ku temu, by mogli prosperować ludzie nieuczciwi, by kwitło łapówkarstwo, protekcja. Rolnicy, nawet najlegalniej posiadający przydział na jakiś deficytowy towar, zanim go odbiorą, spotykają po drodze wielkie utrudnienia, wymuszające nieraz datki.

To już nie jest handel. Klienta nie wita i nie oczekuje się w składnicy maszyn, czy materiałów budowlanych jako tego, który kupi oferowany towar, zapewni prosperowanie firmy, ale jako tego, który obowiązyany jest do wielkiego uznania

i wdzięczności za to, że dopuszczono go do zakupu. Równocześnie sam rolnik wie dobrze, że następnym klientem stoi już w kolejce, stąd jeśli będzie kwestionować jakość towaru, straci on a nie firma. Bardzo często ci, z którymi styka się rolnik, używają formuły, że rolnikowi się „daje”, zapominając, że on za to płaci, i to solidnie. Krzywdzące jest takie stwierdzenie dla wielu ludzi uczciwych, z którymi rolnik współpracuje, niemniej problem ten występuje nagminnie. Musi być on rozwiązywany przez ludzi z obsługi rolnictwa przy ścisłej współpracy i pomocy ze strony rolników. Leży to w interesie wszystkich. Utrudnienia te bowiem, poza negatywnymi skutkami w bieżącej produkcji, zniechęcają młodych ludzi do podejmowania pracy w rolnictwie. A to już kwestia nie tylko dnia dzisiejszego, ale i przyszłości.

Lat 1976—80 nie można zapisać jako dobrego okresu dla rolnictwa. Do rozwarcia nożyc między popytem i podażą w środkach produkcji, zmniejszenia tempa prac melioracyjnych dołączyły się wyjątkowo niekorzystne warunki pogodowe. Nastąpiła stagnacja, a w niektórych przypadkach regres, w produkcji rolnej. Powtórzyło się to, co już nieraz w historii miało miejsce. Jeśli w gospodarce pojawiały się trudności, to najłatwiej było ograniczyć nakłady na rolnictwo.

Uwagi te jednak nie powinny zniechęcać do podejmowania specjalizacji. Wszystko wskazuje na to, że trudności jakie pojawiły się w gospodarce i zahamowały rozwój rolnictwa zostaną stopniowo przezwyciężone. Na pewno w tym procesie musi uczestniczyć bardzo aktywnie samo rolnictwo. Jest ono, pomimo występujących braków, znacznie silniejsze niż przed kilkoma laty. Ma wiele rezerw, które trzeba uruchomić, lepiej wykorzystywać posiadany potencjał w samych gospodarstwach i w jednostkach obsługi rolnictwa, poprawiać organizację pracy.

Kończąc przedstawione skrótkowo i w wielu przypadkach w sposób uproszczony niektóre problemy naszego rolnictwa, zacytujmy na zakończenie typową rozmowę instruktora z rolnikiem na temat specjalizacji (redaktor Stanisław Zieliński swój artykuł zaczynał także od takiej rozmowy).

— Panie Kowalski, obserwuję pana gospodarstwo od kilku lat. Pracuje pan na nim z żoną od świtu do nocy. Użytkuje pan produkcję nie zła na tle innych gospodarstw, ale od kilku lat nie zwiększa się ona, brak jest postępu.

— Tak panie instruktorze, ale już więcej sił nie mam.

— Panie Kowalski, ale tu nie chodzi o to żeby pana namawiać do pracy o godzinę dłużej każdego dnia. Po prostu zastanówmy się wspólnie nad tym, co można zmienić w organizacji pracy w gospodarstwie, co zmechanizować, żeby nawet przy zmniejszonym wysiłku zwiększyć produkcję.

— Ma pan, instruktorze, na myśli specjalizację? Myślałem o tym. Ale nie mam odwagi się zdecydować.

— Tak, z tego co wiem o pana gospodarstwie jest ono podobne do innych gospodarstw, np. we wsi K. Wydaje mi się, że tamte rozwiązania najlepiej pasowałyby dla pana, a ponadto dobrze na własne oczy zobaczyć, porozmawiać z rolnikami, którzy już wyspecjalizowali się w produkcji rolnej.

Po wizycie w wybranych gospodarstwach i po kilkunastokrotnych dyskusjach instruktor rolny opracowuje projekt przekształcenia wielokierunkowego gospodarstwa p. Kowalskiego w specjalistyczne gospodarstwo mleczne. Przedstawia go następnie zainteresowanemu.

— Panie Kowalski a więc to będzie tak (i tu szczegółowe omówienie projektu). Czy zaczynamy? Jak pan widzi, przed nami cztery lata ciężkiej pracy. Zaczniemy w przyszłym roku modernizację budynku na zmechanizowaną oborę. Zmienimy nieco strukturę zasiewów itp.

— Panie instruktorze, zaczynamy, przecież ja widzę co się dzieje w wielu gospodarstwach, a ja nie chcę zostać w tyle.

I tak z grubsza powinna być prowadzona rozmowa instruktora z rolnikiem. Jeśli jest natomiast tak, jak cytuje redaktor Zieliński, to instruktor ten specjalizacji nie rozumie. Ale bywa i tak.

WACŁAW REDLIŃSKI

polemiki



Na początku był chaos. Pobożny petent z wymiętym podaniem, pisanym w prywatnym biurze za odpowiednią opłatą czy też przez wiejskiego roztropka, krążył od pokoju do pokoju, od urzędu do urzędu. Wydużała się lista nieoficjalnych załączników, mały chłopieśki dobra i siły. Chłop, gdy chciał załatwić sprawę, powiedzmy drobny interes, szedł do Gromady. Wywijał czapkę piruetu przed wysokim, chociaż najniższym urzędem, prosił. To był wstęp, początek jego biurokratycznej peregrynacji. Przebrnięcie tego szczebla stanowiło warunek dostania się do powiatu.

W powiecie chłopina dokonywał swoją czapkę piruetów znacznie bardziej zawilich, zamiatał ziemię przed znużoną sekretarką, dziewczyną miastową, dawniejszą sasiadką. Los się uśmiechał, kura była tłusta, dopuszczono go przed Oblicze. Zaś jak szczęścia brakło, kładł podanie na biurku i wracał do wsi, a za nim jego prośba, znowu na gromadzkie stoły. Ten posuwisto-zwrotny ruch papieru, przemierzający ludzkie nadzieje, nie mógł przebrnąć bariery powiatu, pokonać sztucznego muru i trafić do kompetentnych władz wojewódzkich.

Uczni doszli do wniosku, iż w biurokratycznym kosmosie brakuje ładu. Papierowe planety kursują nie po tych orbitach, co powinny, zaś z samego patrzenia w gwiazdy petent niewiele skorzysta. Dlatego postanowiono ten kosmos uporządkować. Przy porządkach należało liczyć się z potężną ilością meteorów, oderwanych w przestrzeń. Z chwilą wprowadzenia pierwszego etapu reformy administracji — w roku 1973 — na walizkach znalazło się wielu urzędników. Jednocześnie pojawiły się spore kłopoty ze znalezieniem odpowiedniej kadry dla nowych urzędów. A owych się namnożyło. Tak jest zawsze w wyniku małej rewolucji, gdy coś się kończy, coś zaczyna.

Drugi etap reformy administracji terenowej (1975) przyniósł nowe województwa.

Gmina stała się świeżym tworem administracyjnym, najniższą jednostką podziału terytorialnego — bardzo ważną. Prasa, radio i telewizja zaczęły wyrażać się do niej z wieloletnim doświadczeniem, takiego podziału, oto bowiem powołano nowy urząd — naczelnika gminy, jednego i prawowitego gospodarza terenu. W gminnych radach narodowych zasiadli najstarsi i najbardziej doświadczeni ludzie. Końcem powiatowej biurokracji, na wierzchu będzie sprawiedliwość. Pobożny petent przestanie niszczyć barier i zamiatając powiatowe dywany. Dostanie wszystko, co mu się prawnie należy.

Naczelnicy otrzymali ładnie oprawione książeczki: modlitewniki swoich kompetencji. Na temat tego statusu wypowiedziano wiele słów, użyto tonu papieru (prawowicie tamtych mogą się schować ze swoją ilością zapisanych kartek). Ale wówczas, na początku, myśli publicystów i naukowców sarażone były jeszcze entuzjazmem z powodu nowego.

Mój ogląd sytuacji naczelników gmin przebiegał w połowie roku 1980, w osiem lat po pierwszym etapie reformy administracji, w pięć po utworzeniu nowych województw. Rozpatrując nieduży wycinek kraju — województwo łomżyńskie, chociaż z wcześniejszych doświadczeń wiem, iż teren ten nie stanowi wyjątku. Jest typowy dla naszej rzeczywistości. Łomżyńskie pod względem obszaru należy do najmniejszych województw w regionie północno-wschodnim, ale w krajowej tabeli znajduje się bliżej środka. Obejmuje teren 6700 kilometrów kwadratowych, podzielonych na czterdzieści gmin. Są to przede wszystkim gminy wiejskie, stąd też rolnictwo wysuwa się na plan pierwszy. Nie gospodarka jednak, a sprawy kadrowe stanowią problem, który próbuje rozstrząsać.

Kim jest naczelnik? Czy rzeczywiście dzierży on w swoich rękach wszelkie rządy i odpowiada za własne decyzje? Takie pytanie traci trochę śmiesznością, gdyż po hurra optymizmie zaczęły odzywać się nieco ostrożniejsze głosy, że z tą gminną władzą jest niezupełnie tak, jak sobie ubzduraliśmy. Naczelnik jest bowiem tylko urzędnikiem podległym województwu, nie wspominając o innych notabliach, sprawujących cichy rząd dusz.

Przy dwustopniowym podziale państwa oczywiście jest podleganie naczelników województwu. Jednak nie wolno zapominać, że podstawowe de-



Władysław Polak: — Naczelnik powinien opanować sztukę zarządzania i wyróżniać się charakterem społecznika.

cyzje, zgodnie z naszą konstytucją, nie zapadają jednoosobowo, istnieje bowiem gminna rada narodowa, w której — z kolei — najczęściej do powiedzenia ma jej przewodniczący, a tę funkcję zwyczajowo sprawuje gminny sekretarz partii. Można powiedzieć — wilk syty i owca cała. Ale to tylko pozory.

Rzadko zdarza się tak, aby naczelnik z sekretarzem KG żyli w przyjaźni. Są to dwie osobowości siedzące w dwóch pałacach, które rywalizują w przypochlebianiu się zwierzchnikom i wywaleczaniu własnego autorytetu. Przez autorytet należy rozumieć decydujący głos w podejmowaniu decyzji. Opinia społeczeństwa spychana jest na plan dalszy.

Naczelnika wybierają władze. Mianuje się na to stanowisko człowieka sprawdzonego. Sprawdzonego? Co to znaczy?

— Są to tylko pobożne życzenia. Praktyka temu przeczy — opinuje Kazimierz Piotrowski, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łomży. Jest on osobą kompetentną, wie bowiem o wszystkich nominacjach i odwołaniach, a poza tym w znacznej mierze o tych faktach decyduje.

— W początkowych okresie, kiedy kadry brakowało, szukaliśmy rezerw wśród nauczycieli — mówi Kazimierz Piotrowski. — Wielu naczelników porzuciło zawód humanisty i podjęło się nowej roli. Sądziłem, że skoro są to ludzie wykształceni, powinni sobie radzić w każdej sytuacji. Szybko okazało się, że bardzo dobrzy dyrektorzy szkół, sprawdził organizatorzy, w sytuacji gminnej łamią się, zaważają sprawy. Znaczenie szerszy zakres odpowiedzialności i nowa skala problemów, o których trzeba samodzielnie decydować, ustanowiły barierę, przez którą przebrnęli tylko nieliczni. Naczelnik powinien nie tylko ładnie mówić, ale znać się na wszystkim; w sytuacji naszego województwa — najbardziej na rolnictwie. W sposób naturalny część ludzi wyselekcjonowała się, nie poddała obowiązkom.

Kadry są szczupłe, gmin sporo. Stąd też bywają nominacje ludzi przypadkowych, którym daje się szansę. Wiadomo, że takie rozwiązanie jest niejednokrotnie tylko grą na zwłokę.

Gdyby o wyborze swego gospodarza mogło decydować społeczeństwo, niewątpliwie urząd naczelnika sprawowałby „swoi”, urodzeni na terenie gminy. Jest to zasada dobra, ale nie zawsze możliwa do zastosowania.

— „Swoi” z reguły znają układy, nie ulegają sugestiom silnych grup nacisku. Społeczeństwo woli zdecy-

dowanie miejscowych naczelników. Jest to sprawa bardzo ważna — zaznacza Kazimierz Piotrowski.

Niezależnie od tego, kto kogo woli, codzienny żywot gospodarza gmin nie jest usłany różami. Każdy dzień, każda nowa sprawa zmusza go do lawirowania, głowkowania, czasami kombinacji.

— Naczelnik gminy został obciążony licznymi normami prawnymi. Jego możliwości są ograniczone, a tym samym podejmowane decyzje muszą mieścić się w ustalonym przez wojewodę planie: może zrobić tylko to, na co mu wojewoda zezwoli.

— O czym tu w ogóle mówić — oburza się Józef Chrzanowski kierujący miastem i gminą Wysokie Mazowieckie. — Centralizm demokratyczny obowiązuje! To, co od góry, jest święte!

Kompetencje naczelnika zostały chyba przez środki masowego przekazu przecenione; przez społeczeństwo — także. Na naszej świadomości ciąży autorytet wójta, a nawet przewodniczącego gromadzkiej rady narodowej. Tamci urzędnicy decydowali na swoim terenie o wszystkim. Otrzymywali pieniądze, powiedzmy symboliczną złotówkę, i mogli nią rozporządzać w zależności od potrzeb. Nie mieli dróg, budowali drogi, nie mieli szkół, budowali szkoły. Naczelnik też otrzymuje pieniądze, istnieje pojęcie budżetu gminy, z tym że ten budżet jest podzielony ogólnie, na szczeblu władz wojewódzkich: tyle na opiekę społeczną, tyle na mieszkaniową itp. Zdarza się, że gmina dostaje kilka milionów na budowę dróg, mimo że akurat pilnie potrzebuje ośrodka zdrowia, a drogi są jeszcze złote.

Co zatem naczelnik może? Może wybudować drogę, bo gdyby pieniądze użył na inny cel, przestąłby być naczelnikiem. Jest on pod bezustannym ostrzałem, rozliczać go można po różnych liniach — urzędowej i partyjnej. Nie zawsze te opinie są złe. Dlatego naczelnicy odchodzą.

Kuchnia kadrowa mieści się w gabinecie dyrektora Adama Anusiewicza z Wydziału Organizacyjno-Prawnego i Kadry Urzędu Wojewódzkiego w Łomży. Wspólnie dokonujemy przeglądu pięciolatki, gmina po gminie, nominacja po nominacji, odwołanie po odwołaniu. Anusiewicz nie musi posługiwać się ściągaczką, referuje z pamięci.

W całym województwie pozostało tylko kilku naczelników, którzy od roku 1975 nie zmienili stołka. Są to gospodarze dużych ośrodków, przeważnie rezydują w byłych siedzibach powiatu, rekrutują się ze starej kadry.

Od roku 1973 nie zmienili stano-

wiska naczelnicy w Kobylinie Borznych i Wiźnie: Józef Golaszewski oraz Eugeniusz Tyszcza. O dwa lata „młodszy” są: Bronisław Lato w Grajewie, Tadeusz Koc z Andrzejowa, Bohdan Piech z Czyżewa, Józef Rydzewski z Grabowa, Mieczysław Jaworski z Kolaków, Kościelnych, Czesław Kurzyński z Rutek, Władysław Polak z Szumowa oraz Ryszard Sowczyk, naczelnik gminy Trzciannice.

— Zastępy pionierów są bardzo mocno przerzedzone — ocenia dyrektor.

— To nie przypadek, że najbardziej stabilną grupą są dawni powiatowcy, zarówno naczelnicy, jak zastępcy. Tradycja, doświadczenie, warunki socjalne (ci ludzie mieli z reguły mieszkania), są to argumenty, które przesadzają — potwierdza również towarzyszący Piotrowski.

Przyczyny odejścia są różne. Nieumiejętność rządzenia, słabe strony charakteru, ludzkie słabości, w których zawiera się także miłość do łatwego pieniądza (naczelnicy biorą łapówki; niektórzy w złotych, niektórzy w dolarach, ale za rękę nie złapałeś, więc nie oskarżaj — chociaż niektórym prokuratorom taki chwyt się udał), konflikty z przełożonymi i duchowymi opiekunami.

— Z reguły jesteśmy wyrozumiali, nie uciekamy się do najostrzejszej formy rozwiązania umowy. Istnieje teoria dyrektorskiej orbity. Trudno się na nią dostać, trudno wprawić w obieg. Ale tylko na początku. Potem człowiek krąży ze stołką na stołek, obraca się zgodnie z teorią pitagorejskich. W jego życiu panuje ład i harmonia. Naczelnik jest zbyt małym pionkiem, aby dotrzeć do kosmicznych teorii.

— Zwolnienie ze stanowiska polaczone jest z reguły z bolesnym chłapnięciem na dupę. Sam byłem naczelnikiem, znam te problemy — mówi Adam Anusiewicz.

Od chwili utworzenia województwa łomżyńskiego, w każdej niemal gminie naczelnik zmienił się przeciętnie dwa i pół raza, czyli średni ich żywot wynosi dwa lata. Biorąc pod uwagę fakt, że nowy gospodarz nie zna swego terenu, należy mu się rok dyspensy na rozeznanie. Na planową pracę orkę na gorze, pozostaje kolejny rok. A coż można zrobić przez ten czas, kiedy teczka z planami województwa jest już dopięta? Najłatwiej załatwić sobie „tyły”.

Obecnie na biurku dyrektora Anusiewicza znajdują się sprawy trzech gmin: Wasosza, Jedwabnego i Bogut Pianek. Naczelnik Wasosza odszedł w sposób tzw. naturalny. Pracował w tej miejscowości przez kilka lat, ale już wcześniej sygnalizował, że w-

KAZIMIERZ
SIEMIENIAKO

Pitagoras w
wersji gminnej

Grajewie buduje dom. Gdy skończy, podziękuję. Właśnie skończył; otrzymał także propozycję pracy z poborami o dwa tysiące wyższymi.

— Nie mieliśmy do niego zastrzeżeń. Zrozumieliśmy sytuację.

W Jedwabnem sprawa odwrotna: — Dla prasy naczelnik złożył rezygnację. A tak naprawdę to on się męczył i myśli się męczyli. Miał rodzinę w Olsztynie i mimo iż zapewniliśmy mu na miejscu mieszkanie, nie chciał się przeprowadzić.

Gdy zorientował się, że naczelnikowanie stanowi ciężki kawałek chleba, utrzymywał prowizorkę. Zima stulecia — on w Olsztynie, powódz — jego znowu nie ma. Towarzysze z Komitetu Gminnego dokonali analizy jego funkcjonowania i dali do zrozumienia. Są nowi kandydaci, są przemyślenia.

Najbardziej jaskrawy i dziwny przypadek ma miejsce w gminie Boguty Płanki. Od roku 1977 funkcję naczelnika sprawuje tam młody człowiek, liczący lat dwadzieścia siedem. Jest on najmłodszym naczelnikiem w województwie łomżyńskim, a niektórzy obliczają, że nawet w kraju. Na stanowisko to trafił, można powiedzieć zasłużenie. Przedtem kierował gminną służbą rolną w Ciechanowcu. Sprawdził się. Raz poraz zbierał oklaski. Przed trzema laty znalazł się na liście dwudziestu najbardziej wybitnych Polaków roku. Udział w prasie wywiadów. Stał się znany, po trosze nawet sławny. Powiada, że nawet za bardzo. Kadzenia nie mógł już strawić.

Władze wojewódzkie doceniły młody talent organizatorski. Rzuciły go na głęboką wodę.

— Bałem się z początku Bogut — zwierza się Edward Szepletowski. — Moje obawy nie były bezpodstawne. Zastąpiłem w gminie gnój. Kontrola kompleksowa to wykazała.

Poprzedni naczelnik Bogut wyleciał z trzaskiem. Nie był dobrym gospodarzem, dbał raczej o swoje prywatne podwórko. Ale gdy pozbawiono go funkcji administracyjnej, pozostał w gminnej egzekutywie partii, zajmował służbowe mieszkanie. Nowy naczelnik musiał dojeżdżać z Ciechanowca, gdzie wynajmował pokój. Sprawa zrozumiała — podjął decyzję o eksmisji swego poprzednika. Zabezpieczył się z każdej strony; była milicja, prawo itp. Jednak nie przewidział wszystkiego. Eksmitowany zaskarżył Urząd Wojewódzki. Podczas tego rabanu zginił mu kosztowność na sumę trzydziestu tysięcy złotych. Ubyło. sztabek złota. Proces jeszcze trwa. Pokrzywdzony mieszka w Bogutach. Prowadzi fermę kurzą. Nie ma idei, aby Szepletowskiego darzyć sympatią. Rozpoczął wojnę podjazdową. Używał różnych argumentów. Chyba coś wskórał, bo sytuacja Szepletowskiego stawała się coraz mniej jednoznaczna. Do województwa docierały sygnały, trzeba było do nich się ustosunkować.

— Nowy naczelnik podjął inicjatywę, na które nie było stać jednostki przynajmniej. A Boguty to gminna nie gmina. Z punktu widzenia administracji, czyli naszych kryteriów oceny, nie można mieć do jego pracy zastrzeżeń — ocenia dyrektor Anusewicz.

— W administracji trudno kogoś w sposób jednoznaczny ocenić, gdyż nie zawsze wiadomo, komu przypisywać zasługi.

Naczelnik powinien być oceniany za prowadzenie własnej działalności, a nie niewolnicze wykonywanie rozkazów — ripostuje Szepletowski.

Ten dwugłos dyrektora Wydziału Urzędu Wojewódzkiego i naczelnika nie ma w zasadzie punktów spornych. Obaj przyznają sobie rację. Może ją nawet mają, ale ani jeden, ani drugi o niej nie decyduje. Kryteria racji ustanawia kto inny.

— Wiem, że mnie zwolnią. Nikt jednak nie potrafi podać mi konkretnych powodów — mówi ze smutkiem naczelnik Szepletowski.

— Odejdzie, to jest w zasadzie przesądzone. Czy ten kubek wody nie jest zbyt zimny? Gdyby ode mnie zależało, nie dokonywałbym zmian — oświadcza dyrektor Anusewicz.

Sytuacja naczelnika Edwarda Szepletowskiego jest nietypowa, nawet skrajna. Wobec tego jakie inne powody składają się na częste zmiany kadrowe w gminach?

— Zachęty i warunki pracy administracji terenowej nie są atrakcyjne — mówi Kazimierz Piotrowski.

— Przede wszystkim brakuje mieszkań i znikome są udogodnienia socjalne. To nie dopinguje do przenoszenia się na teren gminy ludzi z miasta, tym

Szepletowski jest dobrym naczelnikiem. Potrafi utrzymać powierzony sobie teren, robi nawet coś ponad. Na jego temat w ostatnich miesiącach ukazały się dwa artykuły w prasie centralnej. Jeden potępiający w czambuł, drugi w obronę. Jest to wynik układu sił, potyczek ze starym naczelnikiem. Każdy z nich ma swoją prasę.

— Gdyby zostały zachowane reguły gry, przysługujące randze naczelnika, odparłbym wszelkie ataki. Ale jeżeli stosuje się chwyt pociągający pas, jak w wolnej amerykance, to bardzo przepraszam — mówi Szepletowski.

— Jego przypadek jest rzeczywiście kontrowersyjny. Naczelnik młody, ambitny, może za ambitny, miał mocne wejścia, ponaraził się ludzom — twierdzi dyrektor Anusewicz.

— Jestem człowiekiem nie akceptowanym przez aktyw — żali się naczelnik.

— Jedną z przyczyn konfliktów: nieumiejętność utrzymania dialogu z partią, a sekretarze są przewodniczącymi gminnych rad narodowych. Naczelnik, mówiąc po partyjnemu, jest pryncypialny, zasadniczy — wyjaśnia Anusewicz. — Nie zmniejsza karku bywa kłopotliwe, chociaż zmniejszenie też nie stanowi najmilszego zajęcia.

— Nie wybrano mnie w skład egzekutywy, nie znalazłem się nawet w Komitecie Gminnym.

— Nie znam tajników głosowania, ale, na mój gust, zbyt mało było głosów rozstawnych. Sześćdziesiąt procent wypowiedziało się przeciwko.

— Niechęć sekretarza partii zauważyłem od pierwszych dni pracy. Jeżeli ktoś ma akceptację pierwszego sekretarza z Łomży, to nie bardzo rozumiem, dlaczego nie jest skarżony przez miejscowych notabli — skarży się naczelnik.

— W administracji trudno kogoś w sposób jednoznaczny ocenić, gdyż nie zawsze wiadomo, komu przypisywać zasługi.

Naczelnik powinien być oceniany za prowadzenie własnej działalności, a nie niewolnicze wykonywanie rozkazów — ripostuje Szepletowski.

Ten dwugłos dyrektora Wydziału Urzędu Wojewódzkiego i naczelnika nie ma w zasadzie punktów spornych. Obaj przyznają sobie rację. Może ją nawet mają, ale ani jeden, ani drugi o niej nie decyduje. Kryteria racji ustanawia kto inny.

— Wiem, że mnie zwolnią. Nikt jednak nie potrafi podać mi konkretnych powodów — mówi ze smutkiem naczelnik Szepletowski.

— Odejdzie, to jest w zasadzie przesądzone. Czy ten kubek wody nie jest zbyt zimny? Gdyby ode mnie zależało, nie dokonywałbym zmian — oświadcza dyrektor Anusewicz.

Sytuacja naczelnika Edwarda Szepletowskiego jest nietypowa, nawet skrajna. Wobec tego jakie inne powody składają się na częste zmiany kadrowe w gminach?

— Zachęty i warunki pracy administracji terenowej nie są atrakcyjne — mówi Kazimierz Piotrowski.

— Przede wszystkim brakuje mieszkań i znikome są udogodnienia socjalne. To nie dopinguje do przenoszenia się na teren gminy ludzi z miasta, tym

bardziej że ogrom obowiązków i odpowiedzialności nie jest adekwatny do finansowego zadośćuczynienia.

Naczelnik gminy z wyższymi studiami zarobić może w granicach 6600 do 8700 złotych, zaś jego zastępca — od 5400 do 7000 złotych. Nie są to kokosy.

W Ciechanowcu, który przez władze wojewódzkie określany jest jako „środowisko zawsze kontrowersyjne”, funkcję naczelnika pełni Zbigniew Radomski. Jest on człowiekiem popularnym z różnych względów — głównie dzięki telewizji. Występował w Banku Miast, odniósł sukces. Obecnie ma inne sukcesy, chociaż bardziej dyskusyjne. Nie zawsze bowiem schyla czoło przed piedestałem przepisów.

Jego zastępca, sekretarz Urzędu Gminy, powiada: — Moim zadaniem jest pilnować, aby praca w Urzędzie przebiegała zgodnie z normami prawa, ale sprawy typowo decyzyjne należą wyłącznie do naczelnika.

Mierzwinski zdecydował się na pracę w terenie, kiedy doszedł do przekonania, że w województwie młody człowiek po studiach nie ma większych szans na awans. Trzeba czekać latami. A tu praca daje mu satysfakcję: jest, bądź co bądź, pierwszy po Bogu. Także zarobki ma wyższe niż uprzednio, w Urzędzie Wojewódzkim. Nie zamierza jednak spędzić w gminie całego życia. Odbije tylko trochę od ziemi, odłoży, i z powrotem do województwa.

— Charakter pracy utrudnia stabilność kadr — mówi dyrektor Anusewicz.

— Na ile skuteczny jest instruktaż i kontakt bezpośredni Urzędu Wojewódzkiego z naczelnikami i administracją terenową? — zastanawia się Kazimierz Piotrowski. — Teraz jest lepiej, ale początkowy okres był fatalny.

Los naczelnika zależy jest od młota i kowadła. Ale nie znaczy to, że musi on ciągle obrywać po głowie. Dlatego też władze wojewódzkie szukają najodpowiedniejszych kryteriów doboru ludzi na to stanowisko. Jak najmniej pomyłek.

Sprawa doboru musi być działaniem zamierzonym, przygotowanym, jednym z ogniw nowej polityki kadrowej. Ludzie powinni awansować w sposób naturalny. Jednym ze źródeł autentycznego awansu jest sprawdzenie się w działalności społecznej. Naczelnik to nie tylko administrator, ale i działacz społeczny.

Owa działalność społeczna bywa często gwoździem do trumny. Naczelnik musi wykazywać się, błyskać. Poza tym — przy braku funduszy — czynem można wygrać ważną sprawę. Dużo czynów — dobry naczelnik, mało — do kitu.

Marzeniem Kazimierza Piotrowskiego jest obsadzenie stanowiska gospodarza we wszystkich gminach sprawdzonymi ludźmi. Natomiast dyrektor Anusewicz jest raczej zdania, że to nie winą ludzi, tylko układów. Zgadza się jednak ze stwierdzeniem sekretarza: — Ten problem w ocenach słuszności reformy jest jednym z kluczowych.

Reportaż „Pitagoras w wersji gminnej” powstał w czerwcu br. W ciągu trzech miesięcy zmieniło się wiele realiów i jeszcze więcej naczelników.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



W nocy z 12 na 13.10.br. w godz. 21.30—1.30 w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Łomży zabrakło światła. Awaryjny agregat okazał się nieczynny. Bez przekonania ten fakt między spiećcia wkładam, ponieważ jego miejsce w literaturze grozy.

Naczelnik Zambrowa zbywa ostatnio interesantów poważnie brzmiącym argumentem: — Dajcie mi spokój, bo robię magistra! — Różne rzeczy człowiek w życiu popelnia, dlatego jesteśmy skłonni zrozumieć przejęcie naczelnika, a nawet mu pomóc w wyborze tematu pracy dyplomowej. Proponujemy: „Służebną rolę organów administracji państwowej wobec obywatela”.

WSS „Społem” w Łomży tak przejęło się trudną sytuacją rynkową kraju, iż produkty żywnościowe traktuje na prawach surowców wtórnych: nadpsute kurczaki soli i wędzi, a następnie przeznaczają do sprzedaży — jako towar dla ludzi ze słabym węchem.

Upadł już zawód rakarza, nie doceniany i kojarzony z najgorszymi zajęciami. Teraz, gdy hordy psów odstraszały mieszczan od wyjścia na ulicę i gdy nikt nie potrafił sobie z nimi poradzić — wszyscy wzdychają do widoku rozszekanej budy na kółkach, a szczególnie szepietowania, którzy boleśnie przeżywają plagę psów i chorobę jednego z ostatnich w Polsce rakarzy.

Tak nas wzruszył konspiracyjny charakter pracy Urzędu Gminnego w Zawadach, że — jakby nie wierząc w zmyślność władz — tylko gminnych — dowartościowaliśmy go miejscowością. Przepraszamy. Obiecujemy doceniać.

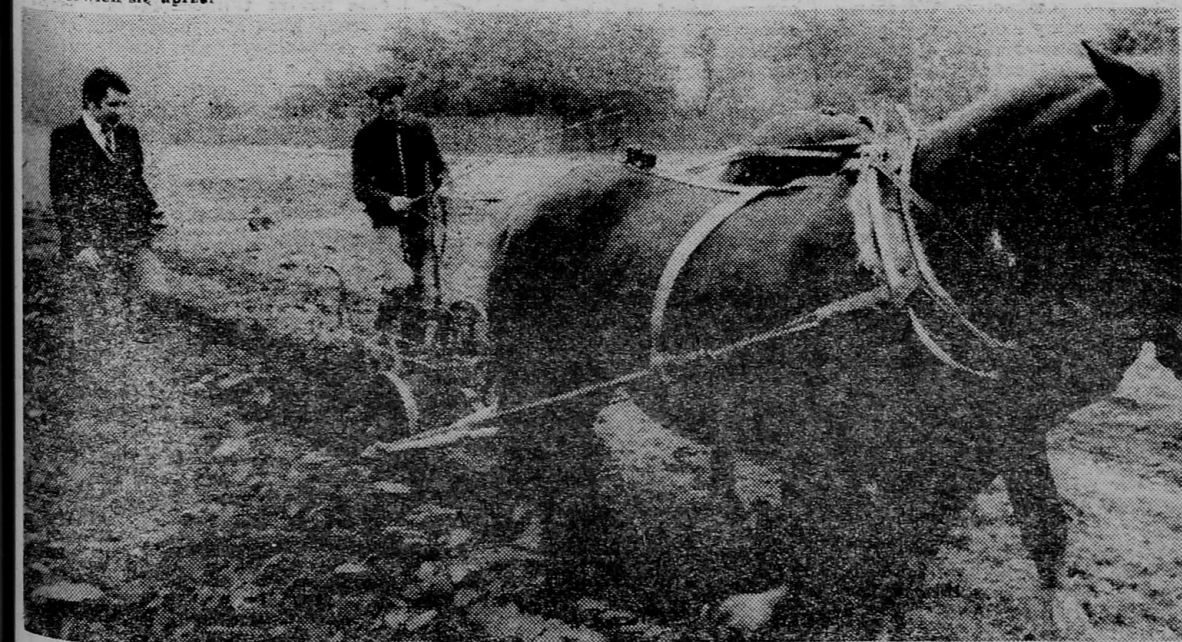
Biblioteka Wojewódzka w Łomży trzyma „Encyklopedię staropolską” Zygmunta Glogera w magazynie, miast w czytelni. Trudno utrzymać się w kursie dzieła, przeto prosimy o wyjaśnienie: czy to już — towar wstydlivy?

Można zrozumieć zdenerwowanie kierowcy PKS-u nr LOD 178P, kiedy wymaga od niego zabrania z Szepletowa do Ciechanowca o godz. 14.53 czterech pasażerów, którzy — według niego — byłoby to ostatnia kropka przepelniająca czarę; ale czy trzeba było ich częstować mieszynami epitetami tylko dlatego, że mieli inne zdanie o pojemności autobusu?

„Na podstawie art. 2 ust. 1 art. 41 i art. 52 ust. 1 ustawy z dnia 27 października 1977 r. o zaopatrzeniu emerytalnym oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin (Dz.U. Nr 32, poz. 140) § 35 pkt. 1 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 9.XII.77 r. w sprawie wykonania niektórych przepisów ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin (Dz.U. Nr 37, poz. 166), art. 138 § 1 pkt. 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. Nr 9, poz. 26 z 1980 r.) po rozpatrzeniu odwołania [...] złożonego od decyzji Naczelnika Gminy [...] z dnia 20 sierpnia 1980 r. Nr 7018-116/80 odmawiającej sporządzenia umowy przekazania przez skarżącego posiadanego przez niego gospodarstwa na rzecz następcy, utrzymuje się zaskarżoną decyzję w mocy.” To fragment korespondencji Wojewódzkiego Biura Geodezji i Terenów Rolnych w Łomży z przerazonym rolnikiem, który trafił do redakcji w poszukiwaniu adwokata, aby ten mógł mu zawarte w piśmie znaki wyjaśnić.

KONTAKTY
26 X 80

Sekretarz Gminnej Rady Narodowej w Gminie Boguty: — Wszystko można zrobić, nawet neon za 150 tys. złotych, jeśli tylko człowiek się uprze.



— Siedziałeś, doprawdy? A ja się za wami stęskniłam. Nie wyglądasz najgorzej. Co słychać u Szymkowiaka?

— Wychodzi na każdy księżyc w poszukiwaniu ciebie.

— Żartujesz, lecz sam przyznasz, że cygańskie życie nie jest dla kobiet.

— Dla mężczyzn również.

— Przypuścimy, ale co ty wyrabiasz?

— Liczę kondony. Wszystko wskazuje, że mi je w Delfe rąbnęli.

— Swinia jesteś.

— Tak mówi mężatka z rocznym stażem?

— Pójdę już. Powiedz Zośce, że jej szukałam. Zapomniałam ci powiedzieć, że Regina zamęcza mnie. Biedna mała.

— Pozdrów ją. Wpadnę do niej, gdy będę w Łomży.

Nazajutrz odbyło się posiedzenie komitetu strajkowego i na wniosek Dąbrowskiej postanowiono udać się delegacją do właścicieli przedziałni. Przyjęli ich osobiście Skrzyński i Totbaum oraz kilku pełnomocników dyrekcji. Robotnicy zaczęli się zbierać przed bramą fabryki. Kręciło się kilku szpiegów, lecz granatowych nie było. Targowiak brał udział w rozmowach jako sekretarz Komitetu. Totbaum wyglądał sympatycznie. Chudy, malutki, szpakowaty, nieco łysawy, o nieproporcjonalnie długich rękach. Skrzyński był masywny. Silnie zarysowany podbródek nadawał mu wyraz stanowczości. Wymiana zdań nie zaczęła się w dobrym nastroju. Skrzyński oświadczył, że pójdzie raczej z tobą, niż da 30 procent podwyżki.

— Co innego mleko dla kobiet i dzieci — przerwał mu Totbaum — no i, powiedzmy, osiem procent podwyżki; dla tkaczy dziesięć.

Maria Dąbrowska podniosła głos, inni delegaci zaczęli się przekrzykiwać. Jedynie Totbaum i dyrektor techniczny starali się pośredniczyć. Mimo burzliwej atmosfery, nastrojów obadwalek był od zerwania pertraktacji. Nagle spod bramy fabryki doszedł tumult, wrzaski, łomot walących się drzwi wejściowych. Wpadł sekretarz dyrekcji wołając, że ktoś puścił wiadomość o aresztowaniu delegacji. Piotrowski polecił interweniować, lecz strażnicy nie dopuścili do kontaktu z załogą. Skrzyński dzwonił po oddziały policyjne. Dąbrowska odcignęła Totbauma na stronę i namawiała, by podpisał dwadzieścia procent. Targowiak zaczął pisać protokół, gdy trzasnęła z hukiem brama. Zawły syreny policyjne. Wtedy Totbaum powiedział spokojnie: — Nu, dobrze. Niech będzie dwadzieścia procent.

— Placisz ze swojej kieszeni! — krzyknął Skrzyński.

— Gut, placę ze swojej kieszeni.

Plenipotent wyciągnął z teczek przygotowany projekt. Totbaum i Dąbrowska złożyli podpisy. Z pewnym wahaniem — zrobił to także Skrzyński, a za nim pozostali delegaci i przedstawiciele firmy. Po korytarzu biegli robotnicy. W otwartych drzwiach stanęła Dąbrowska. Po chwili rumoru zapanowała cisza, tylko z podwórka dochodziły odgłosy starć z policją.

Jeszcze tego dnia, w lokalu na Żelaznej odbyła się konferencja przedstawicieli wszystkich oddziałów i delegatów z Żyrardowa. Panoowało niemal powszechne zadowolenie, zwłaszcza że do umowy podpisano załącznik wyrównujący w jednej trzeciej należność za ostatnie dwa tygodnie. Dyrekcja zobowiązała się nie stosować represji w stosunku do komitetu strajkowego. Podniosło to autorytet związku i osobiście Marii, zwłaszcza że Zakłady Żyrardowskie podpisały podobne warunki. Augustyniak triumfował. Komitet Warszawski KPP mniej. Sekretarz KW, Jan Wróblewski, wypominał Adamowi brak odporności w chwili wybuchu zamieszek pod przedziałnią. Pośpiech, z jakim właściciele podpisali umowę, świadczył, że można było wytargować więcej, chociażby w postaci zwrotu należności za okres strajku.

— Kiedy przeciwnik się zgadza — mówił — należy zapytać: dlaczego?



Zdjęcie ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego.

I mieć czas do namysłu. Stałeś się bonzą związkowym szybciej, nim nauczyłeś się politycznie myśleć. Nie przyszło ci do głowy, że całą tę hecę zaaranżował Pogorzelski?

— Robotnicy byli u skraju sił. Groziło załamanie strajku — bronił się Adam.

— Czy tylko robotnicy — wzruszył ramionami Wróblewski. — Obie strony miały dosyć, decydował moment i silne nerwy. Nie mam do ciebie pretensji, całą hecę należało kończyć, ucz się jednak na przyszłość.

W atmosferze lekkiego odprężenia

dyspozycji dwa dni i polecenie, by możliwie najmniej włóczyć się po ulicach. Słońce budziło miewy jeszcze o brzasku. Wpadł do knajpki na jajecznicę z szynką. Pił kawę z mlekiem i siedł na pobliską plażę, o tej porze jeszcze pustawą. Kupował kartę wstępu, rozbierał się za parawanem, otrzymywał numerki i wyszukiwał kosze możliwie blisko morza. Mógł tak siedzieć godzinami. Słońce padało płasko, grzało bez entuzjazmu.

Zastanawiał się, po co tu przyjechał. Niczego dobrego po tym spotkaniu nie mógł się spodziewać. Andrzej Krupa, sekretarz PPS-Lewicy

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

nia Targowiak zaliczył rok i nawet uczęszczał na zajęcia lektoratu chińskiego. Szło mu łatwiej, niż myślał. Kilka razy po wykładach spotkał się z Marią Łącką. Umówili się w kawiarni. Rozmawiali półgłosem o plotkach z Warszawy. Siedzieli w niszce i okrywał ich półmrok. Maria stwarzała atmosferę. Może ciągle ją kochał i nie chciał się przyznać, że ją stracił przez głupią zazdrość o męża? Kobiety ciągle są sobą, niezależnie od tego z kim śpią. Maria wstała i powtórzyła: — Zobaczmy się, chcesz? Zadzwoń. Prześladowało go uczucie, że wieczór ich stał się czymś, czego nie przeczuwał. Może dlatego miłość zaczyna się i kończy nie w łóżku, a w samotności człowieka? Kochać Marię nie będąc z nią razem? Po co?

Nazajutrz Michał Augustyniak zawiadomił o czekającym ich w Sopocie spotkaniu kierownictwa PPS-Lewicy i sekretariatu KPP. Było mu to nawet na rękę, gdyż Zocha z Jolą wybierały się nad morze do Tupadeli, więc wracając z Sopotu mógł wpaść do nich.

W drugiej połowie lipca wysiadł na dworcu kolejowym w Gdańsku. Na peronie czekał łącznik. Kwaterę otrzymał w Glettkau, małej miejscowości nad brzegiem Zatoki. Miał do

w Krakowie, wyraźnie kluczył na prawo. Podobnie zresztą jak Michał Augustyniak i większość aktywistów Trzech Zagłębi. Ostoją KPP byli Łódź, Poznań i Warszawa. Spór miał rozstrzygnąć najbliższy Zjazd, ale czy na Zjazd w tych warunkach, rokujących rozłam, iść należało? Sekretariat KPP będzie pośredniczył, czy postawi aut-aut? A może aut-aut postawi Krupa? Tak czy inaczej — margines własnych możliwości był mały. Między socjaldemokracją i komunizmem miejsca na własną partię nie było. W każdym razie nie w tych warunkach historycznych. Zostać sobą czy uchylić się od ciosu? W jakich wymiarach i na czyj rachunek? Człowiek jak mrówka trzusi się na ścieżkach własnego losu, a mrówką nie jest. Człowieka można zabić uderzeniem pałki, a na przeciwko siebie stoją armie czołgów. Może mrówka przejdzie, lecz ludzie nie przejdą. Nawet wybór jest ograniczony do jednego gestu — za lub przeciw.

Słońce grzało coraz intensywniej i Adam miał zamiar wejść do wody, gdy na koszt padł cień człowieka. Nie znał go. Porozumieli się w umownym kodzie pytań i odpowiedzi, Adam dowiedział się, że Andrzej Krupa zerwał wstępne rozmowy i wyjechał. Zamiast spotkania — odbędzie się frakcja KPP.

Ubrał się i wyszedł z łącznikiem. Właściwie wszystkie sprawy były wyjaśnione. Należało, z poparciem KPP, przygotować się do Zjazdu, przetrzucając odpowiedzialność za rozłam na Krupę. Żal mu było Augustyniaka, lecz Dąbrowska z nim zostanie. Piotr Spalek utrzyma Kraków, Franciszek Polka — Łódź, Alfred Bem — Poznań, Wit Hanke — Śląsk i Zagłębie. Resztę da się pozbiierać przy pomocy swoich ludzi. Lecz czy ryzykować Zjazd w sytuacji prowokacji i nagonki policyjnej? A bez Zjazdu? Tak czy tak zdelegalizują partię. Pozostaje pole manewru zaledwie na kilka miesięcy. Przyjąć rękawicę i zdecydować się na wybór własnego kierownictwa nawet za cenę więzienia? Jeszcze jeden akt dramatu za cenę zostania sobą. Sobą? Co to znaczy „sobą”? W wymiarach godności czy przekonania?

W kilka dni później wsiadł do pociągu, który szedł na Hel. Zamierzał wysiąść we Władysławowie, by autobusem dostać się do Tupadeli. Wehodząc do przedziału dostrzegł Łącką. Nie widziała go, zasłonięta książką. Powiedział półgłosem „dzień dobry, Mario” i usiadł.

— A, to ty — ucieszyła się.

Przeglądali się sobie w milczeniu, nieco zaskoczeni. Ubrana była w letnią sukienkę, duży kapelusz i narzutek, luźno zwisający z ramion. Opałona, młoda, z uśmiechem na twarzy, była nie do poznania. Powiedziała jej o tym. Wracała z wycieczki do Gdańska. Mieszkali w Jastarni, lecz mąż telefonicznie został wezwany do Warszawy.

— A ty co tu robisz? Wycieczka? — Może wpadniesz do mnie?

— Dobrze — odpowiedział i zdziwił się, że wszystko było tak proste.

Na stacji w Pucku zjedli obiad i wypili po kufłu piwa. Maria była w doskonałym humorze. Mówiła o sprawach, których nie mógł spać: Uniwersytet, Warszawa, miłośnicy, Gdańsk w słońcu, młyn pochylony nad odnogami Wisły, składy na zboże, gotyckie kościoły i protestanckie kościoły, tłum obcy i gwar kaszubski na rynku, polska poczta i sztandar z orłem nad Westerplatte.

— Wiesz, o kim wówczas myślałam? O tobie.

Nawet nie zapytał — dlaczego? Wszystko tłumaczyło się samo. Pociąg włókł się ospale. Przystawał na każdej stacji. Sapał. Na stacji Władysławowo kupił bilet do Jastarni, do której przybyli pod wieczór. Nie zachodząc do pensjonatu, gdzie mieszkała Maria, zjedli w miasteczku, w małej knajpie, na tarasie, świeżo złowione kładry, wypili po szklance wina i poprosili o kawę. Zmierzył zapadał wolno. Gdzieś daleko krzyczały mowy, bryza ciągnęła od morza. Maria otuliła się narzutą, ale nie zdradzała ochoty opuszczenia lokalu.

— Gdy czytałam greckich pisarzy — mówiła półgłosem — nie opuszczała mnie refleksja, że ich wiara w siły nadprzyrodzone była do tego stopnia potrzebą życia, iż sprowadzali na ziemię bogów i uczynili ich śmiertelnymi. Greczynki nigdy nie wiedziały, czy śpią z pastuchem, bogiem, bykiem, kapłanem, łabędziem, czy z sobą. Wówczas natura tłumaczyła się sama i sroga kara spotykała tych, co się jej sprzeniewierzali. Zemsta sięgała pokoleń, a miłość zbliżała siostrę do brata, ojca do córki, matkę do syna. Przestępstwo było równie dostępne bogom, co i ludziom, nawet bogom w większym stopniu, gdyż mieli większe możliwości. Nie sądzisz, że to było piękne i demokratyczne greckie nikt nie powtórzył. W abstrakcji pojęć zniszczyliśmy nie tylko bogów, lecz i człowieka. Masz mgłę w oczach i zmęczenie, a czeka cię klęska naszego spotkania. Nie sądzisz?

Adam powiedział coś o rzeczy na temat Ovidiusza, którego ukarano nie za miłość do kobiet, a za brak miłości do cesarza. Umarł w kraju Daków, nie doczekawszy powrotu.

— Śmierć na wygnaniu jest taka sama, jak wszędzie, podobnie i miłość, jeśli zdarza się naprawdę — odezwiała się Maria.

— Jesteś piękna i prawdziwa.

— Chodźmy. Przedstawię cię w pensjonacie jako brata, który przyjechał mnie odwiedzić.

Dokumenty, które zachowały się z więzienia łomżyńskiego mają wybitnie sprawozdawczy charakter. Są to na ogół tabele, zawierające całe mnóstwo rubryk i podrubryk. I wiele, wiele, liczb. Twory carskiej biurokracji. Dają obraz materialnej zasobności więzienia, mówią o środkach, jakie przyznał rząd carski na utrzymanie straży więziennej, poszczególnych obiektów, czy wreszcie więźniów.

W roku 1913 pracowało w łomżyńskim więzieniu 35 dozorców i 5 nadzorczyń, w tym 26 Polaków. Część z nich pochodziła z Łomży i mieszkała we własnych domach (16 osób). Dozorców — kawalerów (a było ich siedmiu) ulokowano w baraku więziennym przeznaczonym dla chorych na cholerę. Na marginesie tego sprawozdania naczelnik więzienia zaznacza, że „takich chorych w więzieniu nie ma”. Pozostałym pracownikom wynajmowano mieszkania. W wyniku korespondencji między gubernatorem łomżyńskim i naczelnikiem więzienia, w sierpniu 1913 roku przygotowano akt budowy na terenie więziennym specjalnego domu (wraz z pomieszczeniami gospodarczymi) przeznaczonego dla nadzoru więziennego. Koszt budowy miał wynieść około 24—30 tysięcy rubli. Starania te podjęto wobec gwałtownego wzrostu kosztów wynajmowania mieszkań u osób prywatnych. Na przykład zawarto umowę z mieszkańcem Łomży — Janem Puchalskim, mieszkającym przy ulicy Sniadowskiej (w pobliżu więzienia) na wydzierżawienie 17 izb w jego domu po 950 rubli za rok — kwota, jak na owe czasy zawrotna.

Sprawa budowy oddzielnego domu dla strażników nie została sfinalizowana. Ostatni dokument mówi o przesunięciu terminu jej rozpoczęcia na rok 1915. Wtedy jednak więzienie przeniesiono w głąb Rosji. Przewieziono, ma się rozumieć, personel oraz dokumenty. Mury, których dziś już nie ma i budynki zostały przejęte przez Niemców. Po paru tygodniach znów były pełne.

Półtora roku wcześniej — 29 stycznia 1914 — naczelnik więzienia, Nikołajew pisze do łomżyńskich władz gubernialnych pismo w sprawie przydziału 150 rubli na naprawę obuwia, odzieży, bielizny osobistej i poście-

lowej dla więźniów. Poczynania natury gospodarczej wymagały bowiem zgody guberni. Wzorce odzieży dla więźniów przysyłano do Łomży z więzienia w Carskim Siole koło Petersburga. Np. w lutym 1914 roku dotarły one na stację kolejową w Czerwonym Borze (Łomża nie miała jeszcze wtedy połączenia kolejowego) skąd odebrano je, by w więziennym zakładzie krawieckim uszyć według nich ubrania.

W marcu tego samego roku sporządzono bardzo szczegółowy spis odzieży podlegającej likwidacji (w związku z upływem ustalonego odgornymi przepisami okresu jej użytkowania). Zużytych ubrań więziennych nie niszczone jednak, kierując się tylko samym wyliczeniem. Każdą sztukę więźniowie dokładnie przeglądali pod nadzorem strażnika. Rzeczy, które uznano jeszcze za nadające się do noszenia używano w dalszym ciągu. W sprawozdaniu zwracano na te sprawy szczególną uwagę. Musiała być to pozycja znacznie obciążająca budżet państwa skoro w piśmie Głównego Zarządu

Więziennictwa Ministerstwa Sprawiedliwości jeszcze raz przypomniawszy podwładnym, że „wszystko to powinno prowadzić do znacznych oszczędności wyposażenia państwowego”. W tym piśmie podkreślono jednakże, że „więźniowie przebywający w areszcie śledczym (zgodnie z pismem z grudnia 1913 r.) oraz aresztanci czasowi winni posiadać własną odzież i bieliznę pościelową”. Po-
stanowiono też stworzyć możliwość tym więźniom, którzy chcą we własnym zakresie uszyć odzież w pracowniach więziennych na koszt własny lub z kwot wypracowanych w więzieniu.

Ciekawe są dokumenty określające czas używania poszczególnych ubrań. Wynika z nich na przykład, że kaftan więzienny letni mógł służyć 120 dni. Więzienny skryba napisał, że „likwidacji winno podlegać 346 sztuk kaftanów, jednak więźniowie tak szanowali odzież, iż spisuje się tylko 128 sztuk”. Podobnie spisano tylko dwa fartuchy robocze zamiast 108. Spódnice damskich, które więźniarki miały nosić przez 720 dni, spisa-

no trzy zamiast trzynastu. „Szano-
wano także koszule męskie i żeńskie, które używane miały być przez 180 dni. Spisano ich tylko 334 zamiast 569. Oszczędzano również na reformach damskich — spisano ich 9 zamiast 27. Przy czym okres ich używalności wynosił... 360 dni!”

W maju 1914 roku przebywało w łomżyńskim więzieniu 240 mężczyzn i 42 kobiety z różnych stron Rosji. Część z nich — 38 mężczyzn i jedna kobieta — korzystali z odzieży własnej.

Ewidencja wszystkich tych operacji była niezwykle skrupulatna. Każdej towarzyszył cały plik pism, pokwitowań. Wszelkie nadwyżki odzieży, po takim okresowym spisie, odsyłano do więzień w Lublinie i Ostrołęce. Kiedy w roku 1914 więzienie w Łomży ewakuowano do Kaługi — oprócz przedmiotów używanych przez obsługę więzienia, naczyń, odzieży, obuwia, bielizny wywieziono m.in. 7 701 arszynów (5 467 metrów i 71 centymetrów) tkaniny i 18 073 arszyny (12 832 metrów 83 centymetrów) płótna koszulowego.



złodziej, który lubił filozofię

Przez łomżyńskie więzienie „prze-
szli” przedstawiciele wszystkich
mieszkańczych na terenie ówczesne-
go imperium carskiego narodów i na-
rodowości. Polacy, Rosjanie, Litwini,
Łotysze. W roku 1912 był wśród nich
August Herman. 19 grudnia tegoż
roku napisał on do Zarządu Głównego
Więziennictwa skargę, która
stała się dokumentem, mówiącym o
warunkach życia więźniów. Herman
skazany przez Warszawski Okręgo-
wy Sąd Wojskowy na 8 lat za kra-
dzież, przebywał w więzie-
niu łomżyńskim od 1 lutego 1908 ro-
ku. Po około 2,5 roku przebywania w
pojedynczej celi został na własną
prośbę przeniesiony do kilkuosobo-
wej. Jednocześnie władze więzienia
przysłały mu pracę w kuchni. Po
krótkim okresie skierował on do na-
czelnika prośbę o zwolnienie z tego
pracochłonnego zajęcia, bowiem „za-
mierzam swój czas poświęcić nauce —
języka francuskiego, niemieckiego i
filozofii”. Odpowiedź naczelnika była
krótka: „Wiedzę to nie uniwersy-
tet”. I kazał więźnia z powrotem
zamknąć w pojedynczej celi.

Herman ma teraz więcej czasu. Pi-
sze skargę, a w niej wyjaśnia, że:
„prośbę o zwolnienie z pracy w
kuchni napisałem dlatego, że nie mógł
znieść warunków, jakie w niej za-
stałem”. Dalej opisuje co się w wię-
ziennych kuchniach działo: „Naczynia do
wydawania posiłków i wrzasku są
brudne lub myte tak, że oglądając je
łatwo stwierdzić co gotowano na
obiad, albo śniadanie. Na śniadanie
więźniowie dostają ziemniaki nie na-
dające się do spożycia. Więźniowie
karmią nimi wróble i wrony. Wy-
rzucają za okno. Są to zapewne
ziemniaki w drugim gatunku, bo na
obiad podaje się smaczniejsze. Kot-
ły do gotowania są poobijane i od
tego strawa ciemnieje. Miski prze-
-

tantów pokrywa rdza. Danie obiado-
we składające się z kapusty i ziem-
niaków zmieniono na kaszę z gro-
chem. Kucharz to złodziej, w sposób
nachalny kradnie produkty i jest w
zmowie ze strażnikami, a nawet z na-
czelnikiem więzienia. Podczas jednej
z rewizji w kuchni wszystkich wię-
źniów zrewidowano od stóp do głów,
a tylko kucharza nie tknięto”.

August Herman w swej skardze
nie ogranicza się bynajmniej do opi-
sania warunków i stosunków panu-
jących w samej kuchni: „Pewnemu
więźniowi, który miał ochotę załat-
wić na placu spacerowym potrzebę
fizjologiczną zwrócono kategoryczną
uwagę, że zanieczyszcza powietrze.
Ale jednocześnie na jednym z trzech
placów spacerowych systematycznie
odbywa się opróżnianie beczek z nie-
czystościami do kanału, którym spły-
wają one poza ogrodzenie więzienia.
Powoduje to taki odór, że w celach
położonych przy placu trudno oddy-
chać...” I dalej: „Spacer więźniów
z różnych przyczyn są często skracane.
Sienniki wymienia się raz do roku
i raz do roku są one prane. A
ponieważ służą one różnym więźniom
można spać w pościeli zarażonej
przez poprzednika. Prześcieradeł
więźniom nie wydaje się ogólnie”.

A higiena osobista więźniów?
„Podczas kąpieli w łaźni parowej
(bani) do pomieszczenia wchodzi zbyt
wielu więźniów. Jest za mało pary.
Zimno. Nie tylko nie można się wy-
parzyć, ale nie ma nawet warunków
na porządne umycie się. [...] Lekarzy
więziennego większość więźniów nie
widziała na oczy. Nie dokonuje on
przeglądu warunków życia w celach.
Nie kontroluje kuchni. [...] Naczel-
nik więzienia straszy więźniów albo
karą albo przekreśleniem możliwo-
ści wcześniejszego zwolnienia. Dłate-
go też nikt zupełnie nie zgłasza skarg
do zarządcy. Władze więziennic-
-

we nie zwracają uwagi na porządku
panujące w więzieniu — kończy Au-
gust Herman — nawet jeśli dowie-
dzą się od kogoś, kto odważy się
skrytykować tę instytucję”.

Nie wiem jakimi drogami szła
skarga do władz naczelnych. Chyba
jednak przez wszystkie szczeble biu-
rokratycznej drabiny, bo odpowiedź
naczelnika więzienia z dnia 10 sty-
cznia 1913 roku adresowana była do
gubernatora łomżyńskiego. Na bli-
sko 9 stron formatu A-3 (dwie kartki
papieru maszynowego) naczelnik
dokładnie, punkt po punkcie wyjaś-
nia, że:

„Naczynia są myte po każdym u-
życiu i wycieraniu idealnie czystymi
ścierkami. Jakość ziemniaków zgro-
madzonych w dwóch magazynach
sprawdzona została przez lekarza i
policję. Kotły do gotowania ługowa-
ne są każdego roku. Stwierdzenie, że
rdza pokrywa talerze i kubki jest
zwykłym kłamstwem. Zamiana da-
nia obiadowego na groch z kaszą na-
stała na życzenie więźniów”. Nie-
co dalej dowiadujemy się, że było to
spowodowane trudnościami z naby-
ciem kapusty, której jesienią zgro-
madzono za małe zapasy. Brak porcji
mięsa podczas dyżuru Hermana w
kuchni naczelnik tłumaczy tym, że:
„...więźniowie podczas dyżurów pró-
bowali mięso zbyt dużymi kawałkami.
W związku z tym brakujące porcje
uzupełniane są w ten sposób, że nie
daje się drugiego dania więźniom
mającym dyżur w kuchni. [...] Po-
jemniki z nieczystościami są wywo-
żone poza miasto. Natomiast opróż-
nienia szamb dokonuje się rano i o
złotym i nie powinno to przeszkadzać
więźniom. Słomę w siennikach
zmienia się dwa razy w roku
— wiosną i jesienią. Prześcieradeł
więźniowie rzeczywiście nie otrzy-
mują. Spacer, zgodnie z zarządze-
niami, trwa godzinie dziennie. Tylko

podczas niepogody więźniowie pozo-
stają w celach lub skracają się czas
spaceru. Do łaźni wprowadza się
nie więcej niż trzydzieści osób i wy-
starcza tam pary i ciepła. W więzie-
niu jest zatrudniony felczer, który
codziennie roznosi lekarstwa cho-
rym. Przeprowadza on również de-
zynfekcję w więzieniu i robi to pod
kierunkiem lekarza więziennego.
Więźniowie, oczywiście, podlegają
regulaminowemu karom dyscyplinarnym.
Karze się ich m.in. karcerem,
utrata prawa do skrócenia pobytu.
Ale nie czyni się tego po to, by ich
straszyć, a jedynie dla poprawy dy-
scypliny”.

Skąd więc krytyka i skargi wię-
źniów? Naczelnik ma proste wyjaś-
nienie: „Czynią to więźniowie (w tej
liczbie i Herman) dla... zastraszenia
administracji więziennej, by w wa-
runkach więziennych wywalczyli dla
siebie więcej, złe rozumianej, swo-
body”.

A w ogóle to niezadowolone Her-
mana wynikał z tego, że „poniósł on
konsekwencje za to, że rozmawiał
przez otwarty lufcik ze spacerujący-
mi więźniami kiedy przebywał w po-
jedynczej celi. Nie podobało mu się
także to, że został przeznaczony do
prac gospodarczych oraz otrzymał
celę inną niż miał życzenie”.

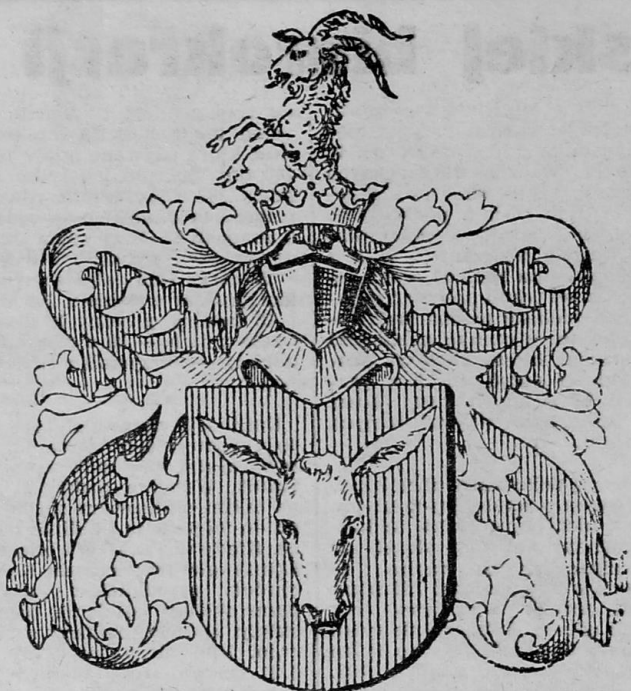
Poza tym skarga nie jest warta u-
wagi władz najwyższych, bo: „Her-
man ma wstręt i niespokojny cha-
rakter. Złe odnosi się do nadzoru
więziennego”.

Kim był ów więzień — skazany za
kradzież młokoś filozofii, języków
francuskiego i niemieckiego? Prawd-
opodobnie nie dowiemy się nigdy.
Tak, jak nie dowiemy się o losach
innych ludzi, którym przyszło lata
całe spędzić za nie istniejącymi już
dziś murami.

TERESA POLECKA
MIKOŁAJ JEDNACZ

dokumenty





społeczeństwo zawsze otwarte

Popperowski termin „społeczeństwo otwarte” jest znany, chociaż coraz bardziej odchodzi w zapomnienie. Gromadząc liczne fakty społeczne coraz bardziej uświadamiamy sobie, że — wyjąwszy społeczność kastowe — na dobrą sprawę każde społeczeństwo jest w jakimś stopniu otwarte. Pytanie o skalę czy stopień tej otwartości jest pytaniem o faktyczną równość. W wymiarze jednostkowym zaś oznacza pytanie o szansę awansu czy możliwość kariery. Dziwnym trafem — w momentach dziejowych szczególnie ważnych dla społeczeństwa, bez względu na jego stopień otwartości, wzrastają szanse ludzi szczególnie zdolnych. Jakby społeczeństwo myślało czy reagowało podobnie do żywego organizmu. A przecież „społeczeństwo” to abstrakt, obraz relacji międzyludzkich i struktur wynikających z tych relacji.

Dr Włodzimierz Pawluczuk — widzący w powrocie do ludowej wiejskiej wspólnoty panaceum na wszystkie podstawowe niedomogi cywilizacji (czytaj: współczesności) — jest nie tylko ahistoryczny, ale i zupełnie niewrażliwy na podstawowe pojęcia socjologiczne, do czego się otwarcie przyznaje twierdząc, że „ważniejsza jest dziś antropologia niż tradycyjna socjologia”. Gdyby Kant przeczytał szkice Pawluczuka, prawdopodobnie zarzuciłby mu to, co zarzucał nieporadnym akademickim filozofom swoich czasów: idealizm marzący, bo przecież autor „Żywiotu i formy” właśnie przedstawienia wyobrażeń traktuje jak rzeczy. Jednią kultury ludowej, tożsamość ludzi z „formą”, podmiotowy stosunek do natury (chyba najlepiej wyrażony przez Kazimierza Grześkowiaka w piosence „Chłop żywemu nie przepuści”), nieobecność czasu linearnego — to mity lub, jak kto woli, dość zawołowane dowcipy.

W cytowanym już poprzednio artykule Andrzej Mencwel słusznie zwraca uwagę na to, że kultura ludowa nie była terytorialnie i czasowo jednolita. Nigdy też nie była izolowana. Przenikały do niej elementy kultury szlacheckiej, funkcjonowały stereotypy. Z właściwą sobie rzetelnością Jan S. Bystron dostrzegł w kulturze ludowej ważność podziału na „swoich” i „obcych”, całą mitologię „krzaka” i „ptaka”, nieskrywana niechęć do przybyszów.

Obserwacjom Bystronia Pawluczuk przeciwstawia demagogiczną gadanię o jedni, połączoną z powtarzaniem, że ważniejsza antropologia niż socjologia. Dla Bystronia chyba też. Ale przede wszystkim fakty. Prawdziwe, nie naciągane. Duża różnica w stosunku do faktów oraz różnica klasy intelektualnej obu panów, piszących o kulturze ludowej, znajduje swój ostateczny wyraz w nomenklaturze. Pamiętajmy, że Bystron był uczonym, a Pawluczuk pozostaje docentem. Bystron zwracał uwagę na niechętny stosunek do obcych, całą mitologię „krzaka” i „ptaka”, symbolizującą antagonizm zasiedziały członków lokalnej społeczności i przybyszów, zawsze przecież przyjmowanych i akceptowanych pod jednym warunkiem, że swoją siłą (li-

czebnością czy znaczeniem) nie zniszczą grupy, która ich przysparza.

Kultura wiejska nigdy nie była hermetycznie zamknięta. Czerpała i z kultury szlacheckiej, i z ideologii bractw religijnych. Warto przypomnieć, że jeszcze przez cały wiek XVII słowo „ziemianin” oznaczało każdego mieszkańca wsi: i chłop, i szlachcica. Dzisiaj, gdy poważni publicyści zaczynają pisać o honorze robotnika czy chłop, warto znać genealogię tego honoru — niewątpliwie rycersko-szlachecką.

Jednak nie tylko ze względu na prawdę historyczną trudno zgodzić się z konserwatywną utopią doc. Pawluczuka. Glorifikacja pierwotnej wspólnoty wiejskiej, apologia horyzontu zakreślonego spojrzeniem, może być zwyczajną zabawą inteligentką, ale w określonych warunkach społecznych przestaje spełniać i taką rolę. Dzisiaj, gdy bardziej potrzebna nam wsi farmerskiej niż złudnego poczucia tożsamości jednostki ze wspólnotą, glorifikacja prymitywu po prostu szkodzi interesom ogółu. Ciekawe, że sami rolnicy nie chcą się godzić z rolą wyznaczoną im przez docenta z Białegostoku. Wiesz swoją widzą w łączności ze sprawami „świata”. Wymownym świadectwem jest tu „Dziennik jednego roku” Wacława Daruka. Podczas gdy doc. Pawluczuk pragnie (m.in.) teoretycznie podbudować tzw. nurt wiejski, Wacław Daruk — typowy chłop, „głowa” lokalnej społeczności — na pytanie dziennikarki z „Literatury” odpowiada dość sceptycznie: „Gdyby to był naprawdę wiejski nurt. Ale on jest najczęściej wyznaczony za biurkiem...” Trudno nie przyznać racji chłopskiemu pamiętnikarzowi, moralistce i filozofowi. Chyba że założymy rzecz zupełnie absurdalną: doc. Pawluczuk zna lepiej wieś niż rolnik Daruk. Do niedawna podobnego typu założenia przyjmowano w wielu dziedzinach życia społecznego. I jak się to zakończyło — wiemy doskonale.

Chcąc więc, aby proces odnowy przyniósł oczekiwany owoc, musimy uwierzyć w oczywistości, a zatem i w to, że czynny zawodowo rolnik wie więcej o wsi niż neorolowski inteligent-chłopoman. Nie wolno nam też ludzi pochodzących z klasy robotniczej pouczać o miłości do tej klasy. Zresztą samo pojęcie „klasy” jest do pewnego stopnia abstraktem. W rzeczywistości żadne społeczeństwo historyczne nie było zbiorowością całkowicie zamkniętą.

W polskim społeczeństwie przedburżuazyjnym (feudalnym czy szlacheckim) wybitnie zdolny syn chłopca mógł zostać biskupem, a więc zasiadać w senacie, mógł nawet dochrapać się godności kanclerza. Właśnie Półkozice „poczęli się naukami wyzwolonymi bawić”, a „sami duchownymi zostali”. Do tego liczego rodu należeli, prócz już wymienionych rodzin, również: Oblakowie, Pachowscy, Pawłowscy, Pietrzewscy, Pikarscy, Plichtowie, Potrykowscy, Pozeradowscy, Rzeszowscy i inni, o których w następnym felietonie.

STRYJEC

tobół ważniejszy niż baba

Tego dnia na autobus czekało sześć osób. Jakaś starowinka, młoda ciężarna kobieta i czterech mężczyzn. Działo się to wszystko w Łomży 23 września 1980 roku. Prawdę mówiąc, to ani data, ani rok nie są tu wcale ważne, bo obrazki takie na dworcu PKS można oglądać w naszym wojewódzkim mieście codziennie.

Autobus w stronę Janczewa odchodził za godzinę, miałem przeto sporo czasu, aby się przyjrzeć scenie, którą państwu dokładnie opiszę.

Kiedy ludzie dostrzegli zbliżający się w ich kierunku pekaes poruszyli się. Następnie wyszli daleko przed stanowisko na obszerny plac i tam już czatowali. Cała szóstka, nie wyłączając staruszki wyciągnęła ręce, by uchwycić się klamki jadącego jeszcze autobusu. Nikomu to się jednak nie udało, a to z powodu, że: mężczyzna nr 1 — kupił akurat spory zwój kolczastego drutu do ogrodzenia państwa, który krępował jego ruchy, ba, połączył go swoimi kolcami z resztą towarzystwa. Mężczyzna nr 2 nabył żyrandol na pięć żarówek, którego jedno ramię wbiło się głęboko w kłód drutu obywatela nr 1, a pozostałe napastowały dalszych pasażerów. Mężczyzna nr 3 zaopatrzył się w wannę, którą zmyślnie napełnił produktami żywnościowymi w postaci soli, cukru i trzech pęt pasztetowej, a także dwu bochnów chleba i jednej kręconej bułki pszennej. Mężczyzna nr 4 — najmłodszy ze wszystkich, w zielonym płaszczu i czarnej beretce — dźwigał przed sobą ogromny tobół, przypominający walizkę własnej produkcji.

W końcu autobus stanął. Jednak na próżno jakaś ręka próbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte na amen. Dopiero po chwili ukazał się w nich młody kierowca i zawołał gromkim głosem:

— Tylko się nie pchać, do cholery, bo nie zabiorę! I już!

Szóstka moich bohaterów zbliżyła się w zwartą gromadkę, przypominającą węzeł gordyjski trudny do rozwikłania, bo poplątany ze sobą i powiązany ściśle drutem, żyrandolem i pozostałymi bagażami.

W najkorzystniejszej sytuacji był, jak się pozornie wydawało, mężczyzna z tobółem. Widziałem, jak z niemałym wysiłkiem wyszarpnął kolce z rękawów płaszcza, drąc je przy tym na strzępy, odsunął jedno ramię żyrandola i postawił triumfalnie lewą nogę na pierwszym stopniu autobusowych schodków.

Kobietę pan przepuścił — wołał obywatel z wanną.

— Jaką kobietę? — zdziwił się szczęśliwiec w beretce.

— A przecie tu tu, z bebechem!

— Jaka tam ona kobieta — odpowiedział młodzian.

— Patrzcie go jaki ważny! I prze-mądrzały! Ciężarnej nie uszanuje!

— wołano.

— Bo to nie żadna kobieta — usprawiedliwiał się atakowany — ale moja baba!

— To przepuść ją pan tym bardziej!

— Sam pan przepuść, kiedyś taki uczony!

— Tobół dla niego ważniejszy niż baba, psia jego mać!

— A pewnie, że ważniejszy!

— Tylko się nie pchać, do pioruna, bo nie zabiorę i już — znów zawołał kierowca.

Prawdę mówiąc, to ludzie prawie się już nie pchali. Nie mogąc wyzwolić się z kłębówiska z minuty na minutę ruszali się coraz mniej. Tylko mężczyzna w beretce nie dawał za wygraną. Wyszobodzony z tłumu, nie wchodził jednak do pustego autobusu, bowiem wśród płaniny pozostał jego tobół, widać pełen skarbów.

— Panie weź pan do cholery tę walizkę — krzyczał zdenerwowany kierowca.

— Jak mam ją wziąć, kiedy ściśnięta?!

— Szarpnij pan mocniej, to może pójdzie!

— Ludzie rozstapcie się, niech ją wyciągnie! — zaapelował.

— Patrzcie go, jaki mądry! Sam wlaź do pekaesu, a nam każe się rozstępować! Sam się rozstap, cwaniaku!

— Ciągnij pan, albo puszczaj w pierony! — zdenerwował się ten z wanną.

Tymczasem staruszka zemdląła, ale nikt tego nie zauważył.

— Ile tu będziemy stali? — denerwował się kierowca. — I tak mam już godzinę spóźnienia!

Młodzian sprężył się w sobie, i pociągnął. Trzasnęło coś, zgrzytnęło, tłum zafalował i nic. Tobół ani drgnął.

— Przez takiego cholernego kmiotę, nie zajadziemy do domu przed wieczorem!

— Przeze mnie? A tyś to lepszy? Obwieś się drotami jak baran koluchamy i do kogoś się czepia!

— Ma rację! — poparła go baba. — Mokeś pan z tem drotom puścić się na piechotę do chałupy!

— Tak? To Boguszyca na piechotę? A ty z demy rogamy to nie?

— Toć to żyrandol, a nie rogi, śle-paku jeden!

— Tylko nie ślepakul! Dobrze!

— A ten z wanną to lepszy? — zapytała niewiasta. — Już nie mogę na nogach ustać, tak mnie gniece!

— Ten też taki sam — poparł ją mąż. — Wszystkie oni takie same! Nakupią tego baracha, ciolki jedne, a potem do pekaesu jak na fore sie cisno!

Przygadywali sobie coraz srożej. I natarczywiej. Wygrażali pięściami, że wreszcie złapali się za łby. Widziałem jak zdenerwowany kierowca postąpił chwilę nad walczącymi, a potem zamknawszy powoli drzwi odjechał pustym autobusem w stronę Konarzyc.

TADEUSZ MOCARSKI

W poprzednim felietonie mylnie zostało wydrukowane nazwisko prezesa GS-u, pan J. Kowieskiej. Przepraszamy.

Rysunek Antoniego Kowalskiego



Samotny, walący się domek da-
leko poza wsią; obok, w podob-
nym stanie stodoła i obora. Na
podwórzu walają się fragmenty
zardzewiałych maszyn rolniczych,
części kierału, sieczkarni. Boha-
ter reportażu, człowiek w podesz-
łych latach, trzyma się jeszcze
dziarsko.

OSTATNI: O! Łańcuch reperował
ja! Bo się urwał trocni... (brzęk łań-
cucha). Ja zreperował jego... o! Za-
raz ja tu pokaże wszystko swoje,
swoje majątność! Swoje bogactwo,
co mam. (skrzypienie otwieranych
wrót stodoły) Loco! To będzie stary
wół, o, mój! (podchodzi do wołu) Nu,
stawaj, stawaj! Do cudzego to on
tak, panie, wiency niebezpieczny tro-
cni, ale do swego to... Żeby on tam
mnie rogami bił, panie, to cóż, jak-
by my pracowaliśmy? On jest go-
spodarzem i ja gospodarz! Ja bez
niego nic, a on beze mnie nic. Nu,
jakże by my żyli na świecie, że je-
go nie było, że Pan Bóg nie stwo-
rzył nam takiego woła? Stój! Uch!
Zawiąże, że ty! To nazywa się
po dawniejszemu wiarno, bo dzi-
siaj to chomaty się nazywają. I to
jest tak: od drzewa wół nawet wło-
sa nie obetrze! Złamie się, to drugie
zrobie... To nie nie kosztuje dla mnie.
Tak! (krzyczy się po obejściu) I wszę-
dzie ja wszystko zrobię, nim co
mnie potrzeba.

Pomału się robi. Tylko że on moc-
niejszy jest od konia. I trwalszy.
Koń okrąży rok potrzebuje ziarna
trochu, a wół — trawa, siano! Na-
wet ze słomy moge ja wychować
woła. Ja tak o i mówię: kiedyś na-
sze ojcy, nasze dziadki, pradziadki
wołami robili, a teraz, wiecie, pa-
nowie, jak jest teraz... Powinno być
zawsze stało, jednakowo. A to mi
dlatego się nie podoba, tak... wszy-
sko chwile się. O! Ja drugiego,
młodszego dochowuje się. Dopóki on
podrośnie większym jeszcze, później
będzie pracował i będzie u mnie
rósł. Tak. Czekaj, ty! Ja tobie dam!
Nu, stoj spokojnie!

I, wiecie, panowie, jest taka sprawa,
że ja, o tak, żyje na razie. Od
państwa nic nie żądam, żeby to
państwo mnie coś dało. Ja jestem
nawet i przeciwny tym, że patrzysz
— ludzi siedzą, rozpanieli, pracować
nie chcą! Bo jak u nas początek
był, przyszedł, tylko co nastał de-
mokrata, to patrzyli dloniów na-
szych! O! Jakie dlonie nasze? Pra-
cujące? I mnie patrzyli, po dloniach
poznawali; tak, to jest nasz! I po-
czątek jak był, to tak: nasze urzęd-
niki przyszli z koso, kobiety, męż-
czyźni, pomagali nam kosić, zbiera-
li z pola. A dziś u nas, jak ja wi-
dze, za dużo tych, ja wiem... takich,
co lekko pracują. Za dużo się tych
narobiło! Nie wiem, czy to prawda,
bo ja głup... bo ja jestem głupszy
człowiek, tylko tak jak ty, gdzie ja
mieszkam, tak o widzę, że za dużo
tych o narobiło się, które nie pra-
cują! Z takim, z takim rozmawiałem
kierownikiem szkoły. Pytam się: do
czego ty, mówię, uczysz dzieci? U-
czysz, że nie był kuliganem, zło-
dziejem nie był, ale żadnej pracy
— bo i moje dzieci się tam uczyli
— ja nie widzę, że ty pracy nau-
czyli!

No, dobra. Ja wyprowadzę jego,
starego tego woła, na dwór. (szamo-
tanina) Noooo! Echta! Stój! (wypro-
wadza zwierzę z obory, zaprzęga do
wozu) Ja wołem nazywam jego. Nu,
noooo! Dawaj do tyłu tera! Wio!
Prrr! Najtańsza, panie, zaprzęga, o,
wołem! Nie rwie się nic. Mam i
kierowniczki! Jak trzeba, to jade i na
asfalt! To i kierowniczki zakładam. Bo
jade prawnie: prawo strono, tak jak
trzeba. Daleko drogo to i nie jade;
do miłna zajade, pięć kilometrów
najdalej. Albo to: ktoś przyjedzie,
koniem nie da rady, a ja fure na-
łożę duże — mój wół pociągnie! Po-
szed! (do wołu) Uch, ty! Chodź! Bez
bata ty pójdziesz.

Deska, to jest, pan usiadł na te
desce i będziemy jechać. Pan siada
na fure. Prrr, stoj! Wioooo! (turkot
kół) Widzi pan, jak idzie on? Oj, nie
zaczepię się tutaj; tu trzeba patrzeć,
bo to on nie wie, jak jechać. Musi
furman patrzeć, kierowca... Kierow-
ca przecież ja jestem, nooo! Zawra-
caj się, nooo! Pruuut! Stój! Widział
pan? Krzyknął na jego, już on i
stoi! A co ludzie mówią? Panie,
śmiać się każdemu wolno. Z pana
możno i ze mnie można pośmiać się...
Tylko aby my zdrowe byli! Zgod-
nie pośmiać się można. To już my
możem zawsze się śmiać jeden z



drugiego, tak samo jak i z tego
bydlaka. Co my mamy do tego, jak
się śmieje? Zdrowemu dobrze się
pośmiać.

Teraz zarzucają i koni nawet,
wszystko do traktorów... I ziemię
zdawają ludzi, nie chcą już tej zie-
mi. Chce tylko, o, siedzieć i pie-
niędzy brać! Nie pracować! I wy-
glądać od rządu. Żeby mnie rząd
dał? Do mojej gęby! Moje rency
jeszcze jest zdolne do pracy, i nogi
zdolne, i ja sam cały zdolny jestem
do pracy. Siedymdziesiąt dwa lata
mnie, trzeci... tak! I czuje się na

robić, on nie przyzwyczajony do te-
go i jemu nie tak idzie ta robota,
nie tak się klei. Bo jak człowiek
wien pracuje, zawsze pracuje, do
tego przyzwyczajony — to grunt! I
idzie to! A on, ot, nie wiadomo cze-
go i szuka! (do wołu) Nazad! W ty!
Naaazaaa! Pruuut! Dawaj! Ooo!
Widzi pan? Dasz to tak, i do obory
zapchnie wół! Do przodu!

Dobry on jest, mocny. Ludzie mó-
wio, że, ot, traktora kupił, tego, sie-
go. I mówię: „A skąd ja moge kupi-
ć traktora? Mnie nie wystarczy na
traktora”. Grunt tylko z państwem

ko dla ich mówię, że to tak nie
można, nasz świat nie może wytrzy-
mać, żeby tak było. Bo musi być nie
tylko ten, co pięknie ubrany i w
pięknym łożu śpi, ale i potrzebny
ten człowiek, jeszcze potrzebniejszy
mi się zdaje, tak, którego jest ostat-
nim człowiekiem, tak jak i ja, to!
Ja ostatnie robotę wszystkie zrobię,
bo ja niczego nie boję się! Nie boję
się. O, pójdę do chlewa... Ze urobie
się tam, jak to, wie pan, gnój, i tak
dalej. Czy tam, panie, też coś o-
przątnąć... Ja zrobię to wszystko, ja
się nie boję!

ostatni

zdrowiu. Jeszcze pójdziem do pracy,
gdzieś przy młóceniu czy co. Kto
młody, może i da radę, ale mu się
nie chceee! Nawet tera, o, poszli,
to, kosić! To mój sąsiad, młody czło-
wiek, mówi do mnie: „Już ty moc-
niejszy, że ty koso wien pociągniesz,
jak ja!” Ja mówię: „Nie wiem...”
Ale to on młody, nie chce się mu

się rozliczyć, to mnie dosyć.

Ja tu sam żyję... Pradu nie ma, bo
drogo kosztuje założyć tutaj. Kupie
nafty, sobie trochę zapale, to, pój-
de, zrobię, co mi trzeba, i już. Tak
dobrze, jak i jest. Nie trzeba mnie...
A ludzie to mówią dzisiaj: mało
pracować, ale dobrze jeść i pięknie
ubranym chodzić. No to cóż? Ja tyl-

Tak... Nawet człowiek człowieka
obczyścić też potrzebny. Potrzebny
on... Dlatego „Ostatni” mnie ludzie
nazwali. Wie pan, ja, o, nie ubrany
dobrze, nie wyspany dobrze, zjeść —
nie zjem tak, jak ludzie zjedzą... Bo
dziś u ludzi co? Żeb była wendlin-
ka jaka, kiełbasa, to on zje, bo bez
tego on żyć nie może! A ja moge.
Tylko za jedno margaryno moge.
Dlatego ja jestem „Ostatni”! O! Pa-
pierosa mnie nie stać kupić! Wołem
pracuje też ostatni człowiek! W po-
latanych, o, spodniach chodzę, czy
tam ubranie jakieś polatane... I ja
tak żyję! Jak ten ostatni.

Ale jest tak: ostatni ja człowiek,
ale moje rency, moje nogi nie jest
ostatni! To ja pójdę do tego, panie
pierwszego człowieka, ten pierwszy
człowiek znajdzie dla mnie ostatnio
prace, prawda? Bo ktoś nie chce, a
ja ostatnio prace zrobię! To mi się
zdaje, że ja jestem dobrym człowie-
kiem. Według siebie tak mówię, li-
cze!

Taka sprawa, panie: ja sam nie
chcę być pierwszym! Tylko, o, ktoś
mnie może pierwszym zrobić! Ja
pójdę, jemu zrobię ostatnio robotę,
to on mnie uważa za ostatniego, i
za pierwszego! Bo ja mu to zrobię!
Już ja tak nawet... I tego zamysłu
nigdy u mnie nie było, że ja był
pierwszym człowiekiem, aby praca
mi się zdolnie udawała. A udawała
się prace i teraz się udaje! Praca...
Ale dlaczego, panie, dzisiaj jest trak-
torów pełno, wszystkiego jest, tech-
nika... ale u nas brak, panie, robot-
nika! Rone pracujących brakuje.
Tak jest! Bo dzisiaj ludzie chcą być
wszystkie pierwszymi. A to tak nie
może być! Bez ostatniego nie, praw-
da? Świat nie będzie istniał! Co bę-
dzie, jeżeli wszystkie będziemy
pierwszymi? Musi być ktoś ostatni.
I ja jestem ostatnim człowiekiem.
Ludzie tak mówią, i dobrze! Wioooo!

ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



o "paz. 1990
oby. cza. e



KONTAKTY

JAN JANUSZEK



Nazwisko i imię

Zbiorcza Szkoła Gminna

Adres uczestnika

.....

Data i miejsce urodzenia

Potwierdzenie zgłoszenia przez opiekuna SKS

kuna SKS

23.10.1980 TV 29.10.1980

CZWARTEK 23 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. I.
6.30. TTR — wskazówki metodyczne.
9.00. Historia, kl. VI: „Odrodzenie w sztuce”.
12.55. „Światło źródłem życia” — film oświatowy.
13.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. III.
14.00. TTR, RTSS — biologia, sem. III.
14.25. „Turniej zastępowych”.
14.35. Dziennik Telewizyjny.
15.30. Czwartek TDC.
17.30. Magazyn motoryzacyjny.
18.00. Magazyn Młodych.
18.25. Magazyn lotniczy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Malowane dźwiękiem”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Sensacji — Witold Starecki: „Miedzy wierszami”.
21.30. Pegaz.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Encyklopedia gospodarcza 1980.
22.55. „Dramatyczne losy arrasów warszawskich”.

PROGRAM II

10.00. „Brygady Tygrysa” — „Proch i kule”.
12.30. Poradnik działkowca.
15.55. Język rosyjski, lekcja 3.
16.25. Język francuski, lekcja 3.
17.00. Poradnik działkowca.
17.30. Popołudnie Przygody i Podróży.
18.30. Dziennik Telewizyjny.
19.10. NURT — pedagogika.
21.10. NURT — matematyka.
21.40. 24 Godziny.
21.50. Kino-Oko.
22.50. Klaps.

PIĄTEK 24 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. III.
6.30. TTR, RTSS — biologia, sem. III.
9.55. „Na zamku” — program dla kl. IV.
11.00. „Na straganie w dzień targowy” — kl. I-II.
13.30. TTR — uprawa roślin, sem. I.
14.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. I.
15.20. NURT — pedagogika.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Piątek z Pankracym”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.20. „Rodzina Polanieckich” (5) — „Spelnienie”.
18.40. Radzimy rolnikom.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Posrednik”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Kabaret „Dudek”.
21.50. Listy o gospodarce.
22.20. Dziennik Telewizyjny.
22.35. Nagrodzone w Szczecinie.
24.5. Teatr Telewizji: „Zakręt” w reż. Grzegorza Królikiewicza.

PROGRAM II

10.00. „Rodzina Polanieckich” (5) — „Spelnienie”.
11.25. „Gwiazdozbiór” — Daniel Olbrychski.
12.10. „Piosenki, które lubimy”.
12.35. Nagrodzone w Szczecinie.
16.05. Język francuski, lekcja 3.
16.35. Język rosyjski, lekcja 3.
17.10. Kino TDC.
18.20. Male Kino.
18.30. Spotkania Literackie.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Gdzie w małym miasteczku” (3).
21.30. 24 Godziny.
21.45. „Gwiazdozbiór” — Daniel Olbrychski.
22.35. „Mówić nie mówić”.
23.10. Język francuski, lekcja 3.

SOBOTA 25 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, sem. I.
6.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. I.
7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.
7.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III.
9.05. Człowiek, Ziemia, Kosmos.
9.35. Poranek z kulturą.
11.05. „Klub 6 Kontynentów”.
11.55 — 24.00. — STUDIO 2.

PROGRAM II

15.55. „Po Konkursie...” — blok muzyczny.
16.00. Mistrzostwa Europy w gimnastyce artystycznej.
16.50. „Wojna domowa” (13) — „Młode talenty”.
17.40. Zapisane kamera.
18.10. Cykl świata — „Cyrk Busch”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Telewizyjny Music-Hall.
21.20. „Rybak z małego morza” — film dokumentalny.
21.50. „Telefon 110” — „Zbuntowana”.
23.10. Poezi recytują wiersze — Jerzy Harasymowicz.

NIEDZIELA 26 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.20. TTR — hodowla zwierząt, sem. III.
6.50. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III.
7.20. TTR, RTSS — nasze spotkania.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. Telewizjada.
9.00. „Telekanek”, m.in. „Niedzwiedź pana Adamsa”.
10.20. Antena.
10.45. Republiki Radzieckie — „Drogi Kierowniku”.
11.40. Dziennik Telewizyjny.
12.50. Poranek Symfoniczny WOSPRIT.
13.30. Rolnicze rozmowy.
14.20. Dla dzieci: — „Diamantowy półrośnik koczujący”.
14.45. Telewizyjny Koncert Zyczeń.
15.30. „Z kamery wśród zwierząt”.
16.10. Tele-Echo.

17.10. W świecie dzikich zwierząt.

17.35. Mistrzostwa Europy w gimnastyce artystycznej.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Z biegiem lat, z biegiem dni” (8) — „Kraków 1914”.
21.35. Postscriptum.
22.00. Sport. Magazyn sprawozdawczy.
22.25. „Z muzyką przez lata” (3) — program Jerzego Waldorffa.

PROGRAM II

10.25. „Zawsze w potrzebie” — program wojskowy.
10.30. „Przeboje tygodnia”.
11.55. „Z biegiem lat, z biegiem dni” (8) — „Kraków 1914”.
13.20. Program rozrywkowy.
13.50. Nagrodzone w Szczecinie.
15.15. „Miłość i pożar” — komedia filmowa.
15.45. Teatr Telewizji na Świecie — Georg Buchner: — „Śmierć Danton’a” w reż. Fritz Bornemann.
18.00. „Stereo i w kolorze”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Życie na Ziemi” (4) — „Owady”.
21.15. Program rozrywkowy.
21.45. SOS dla Helu.
22.00. Jazz Jamboree 80.

PONIEDZIAŁEK 27 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

13.30. TTR — język polski.
14.00. TTR — fizyka.
15.20. NURT — psychologia.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Zwierzynek.
16.55. Klinika Zdrowego Człowieka.
17.20. „Polskie drogi” (9) — „Do broni”.
18.50. Dobranoc.
18.55. Radzimy rolnikom.
19.05. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji na Świecie (NRD) — Georg Buchner: „Śmierć Danton’a”.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Horyzont.

PROGRAM II

10.00. „Polskie drogi” (9) — „Do broni”.
11.35. Klinika Zdrowego Człowieka.
12.00. Dzień ONZ-u w TVP. „Czy konkretny są dobre dla wszystkich?”.
12.30. „Świat śpiewa — świat tańczy”.
17.00. „Uwertura” — film dokumentalny.
17.15. Przedstawiamy Narody Zjednoczone.
17.30. „Wyzwolić Namibię!” — film dokumentalny.
18.00. Śpiewa Myriam Makeba.
18.25. „Czy konkretny są dobre dla wszystkich?”.
18.50. Przyjaciele Jaques’a Preverta.
19.00. „Świat dzieci” — dobranocka Dnia ONZ-u.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Świat śpiewa — świat tańczy”.
20.40. „Kształt lepszego świata”.
21.00. Gość Dnia ONZ-u.
21.10. „Nuklearne 3 — 2 — 1...?”
21.35. Gość Dnia ONZ-u.
21.45. „Nie zapomnij mnie”.
22.00. 24 Godziny.
22.10. „Wielka wioska”.
22.35. „Dla Wenecji”.

WTOREK 28 PAZDZIERNIKA 1980 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — język polski.
6.30. TTR — fizyka.
9.00. Język polski, kl. I lic. Jan Kochanowski — „Odprowa posłów greckich”.
9.55. Język polski kl. II lic. Adam Mickiewicz — „Dziady”.
12.50. Rodzina współczesna, kl. I-II lic.
13.30. TTR — język polski.
14.00. TTR — uprawa roślin.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.55. „Skojarzenia”.
17.15. Dom i my.
17.35. „Ciąg dalszy nastąpi”.
18.25. „Królik Bugs przedstawia”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Skarbiec.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Gąski” — czechosłowacki film obyczajowy.
21.30. Spotkania liryczne — „Szeptanka”.
22.00. Poglądy.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. Proscenium.

PROGRAM II

10.00. Skarbiec.
10.30. Spotkania liryczne — „Szeptanka”.
11.00. Mój koncert.
12.00. „Skojarzenia”.
12.20. „Szacunek dla chleba”.
15.30. Język niemiecki, lekcja 4.
15.55. Język angielski, lekcja 4.
16.30. Kino Telewizji Najmłodszych.
17.00. Lidar.
17.30. „Szacunek dla chleba”.
18.00. „Mój koncert”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.10. 24 Godziny.
21.20. Bez recept.
21.50. Filmy Andrzeja Munka — „Pa-sażerka”.
22.55. Język niemiecki, lekcja 4.

ŚRODA 29 PAZDZIERNIKA 1980 R.

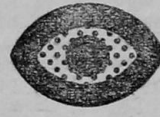
PROGRAM I

6.00. TTR — język polski.
6.30. TTR — uprawa roślin.
9.55. Praca — technika, kl. I: „Elektryczne oświetlenie choinki”.
11.55. Fizyka, kl. VIII: „Dlaczego meta-le przewodzi?”.
13.30. TTR — matematyka.
14.00. TTR — biologia.
15.20. NURT — matematyka.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Michałki”.
17.10. Turystyka i wypoczynek.
17.30. Klub Dobrej Książki.

17.55. I liga piłki nożnej.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Partia na instrument drewniany” — polski film wojenny w reż. Janusza Zaorskiego.
21.45. XYZ, cz. I.
22.10. Dziennik Telewizyjny.
22.25. XYZ, cz. II.

PROGRAM II

10.00. „Kto mnie wola nocą” — rumuński film obyczajowy.
11.40. Turystyka i wypoczynek.



Łódź, kino „Październik”: 23-24 X — „Z przewiazanymi oczami”, prod. hiszp. (od lat 18); 25-26 X — „PS”, prod. NRD (od lat 18); 27-29 X — „Manhattan”, prod. USA (od lat 18).

Ciechanowiec, kino „Meteor”: 23-24 X — „Dziewczyna do dziecka”, prod. wł. (od lat 18); 25-26 X — „Dwaj mężczyźni meldują powrót”, prod. CSRS (od lat 12); 28-29 X — „Dzień weselny”, prod. USA (od lat 15).

Grajewo, kino „Relaks”: 23-24 X — „Dziewczyna do dziecka”, prod. wł. (od lat 18); 25-26 X — „Bitwa o Midway”, prod. USA (od lat 12); 27-28 X — „Przełomy Missouri”, prod. USA (od lat 18); 29-30 X — „Zdjęcia na pamięć”, prod. bułg. (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza”: 23 X — „Okupacja w 26 obrazach”, prod. jug. (od lat 15).

12.00. Camerata.
12.25. Ekran reporterów.
15.55. Język angielski, lekcja 4.
16.25. Język niemiecki, lekcja 4.
16.55. Program morski.
17.25. „Kto mnie wola nocą” — rumuński film obyczajowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Ekran reporterów.
20.40. Stopklatka.
21.15. 24 Godziny.
21.25. „Moje zapamiętanie” — Śpiewa Czesław Niemien.
21.50. Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny.
22.20. Język angielski, lekcja 4.

18); 25-26 X — „Nie żądnasz spokoju”, prod. pol. (od lat 18); 29-30 X — „Człowiek klanu”, prod. USA (od lat 18).

Kolno, kino „Wrzos”: 23-24 X — „Odrzajacy, brudni, żli”, prod. wł. (od lat 18); 25-26 X — „Pięć wieczorów”, prod. ZSRR (od lat 15); 27-29 X — „Obcy — 8 pasażer „Nostromo”, prod. ang. (od lat 15).

Nowogród, kino „Ziemowit”: 25-26 X — „Umarli rzucają cień” prod. pol. (od lat 15); 28-29 X — „Stracenci”, prod. USA (od lat 18).

Stawiski, kino „Saturn”: 23-24 X — „Gorące polowanie” prod. jap. (od lat 15); 25-26 X — „Ingo zagraj w filmie”, prod. ZSRR (od lat 12); 28-29 X — „Szal” prod. ang. (od lat 12).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 23 X — „Chiński syndrom”, prod. USA (od lat 15); 24-26 X — „Corleone”, prod. wł. (od lat 18); 28-29 X — „Kobieta i kobieta”, prod. pol. (od lat 15).

Zambrów, kino „Kosmos”: 23-24 X — „Lot nad kukuleczym gniazdem”, prod. USA (od lat 18); 25-26 X — „Powrót Robin Hooda”, prod. ang. (od lat 12); 27-29 X — „Hair”, prod. USA (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

owego, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkacki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemianę i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworcu z Brzoźek wystawa archeologiczna — „Pradzie Nowogrodu”. 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chetnik — życie i działalność”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00-16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00-19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (technika uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, taktwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrza. Wystawa czasowa: „Len — roślina przemysłowa” (tradycyjna obróbka lnu, wyroby lniane, len jako surowiec).

oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00-18.00, w soboty w godz. 8.00-15.00. „Wędrowki wakacyjne z aparatem fotograficznym” — wystawa prac członków szkolnych kół fotograficznych.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 10 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych) — w godz. 12.00-18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00-16.00. malarstwo Julii Gniewek (od 24 X).

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrówie: inauguracja roku kulturalno-świątowego (dla gmin: Andrzejewo, Kotaki Kościelne, Rutki, Zambrów, Zareby Kościelne i Zawady) 23 X, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Nowogrodzie: inauguracja roku kulturalno-świątowego (dla gmin: Łódź, Miastkowo, Nowogród i Śniadowo) 29 X, godz. 12.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: wystawa prac olejnych Stefana Matysiewicza; wystawa poświęcona Dniom Filmu Radzieckiego (czynne do 31 X, w godz. 8.00-18.00).

Gminny Ośrodek Kultury w Bogutach-Piankach: inauguracja roku kulturalno-świątowego (dla gmin: Boguty, Ciechanowiec, Nur i Perlejewo) 27 X, godz. 13.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Szeplietowie: inauguracja roku kulturalno-świątowego (dla gmin: Czyżew, Klukowo, Piekuty i Szeplietowo) 29 X, godz. 12.00.

NOWOŚCI Biblioteki Publicznej

Odbudowa państwa polskiego 1914-1918 — drugie wydanie znakomitej książki prof. Janusza Pajewskiego.
Jest to monografia historyczna stanowiąca syntetyczne opracowanie problemów związanych z politycznymi okolicznościami odzyskania przez naród polski niepodległego bytu państwowego po przeszło wiekowej niewoli. Autor wszechstronnie naświetla koncepcje niepodległościowe różnych ugrupowań politycznych i obozów ideologicznych na przełomie XIX i XX wieku, ukazuje stosunek państw zaborczych do sprawy polskiej w obliczu wydarzeń i wojny światowej oraz przedstawia najważniejsze e-

tapy w procesie odzyskiwania politycznych i narodowościowych pobódek Polaków.

Cezary Chlebowski — Zagłada IV odcinka.
Tematem książki jest półtoraroczny okres działalności podziemnej organizacji „Wachlarz” powołanej przez Związek Walki Zbrojnej. Autor omawia cele i zadania tej niewielkiej organizacji, niewspółmierne do jej możliwości, odwarza początkowo skuteczne budzące podziw akcje dywersyjno-sabotażowe oddziału oraz dramatyczne okoliczności wykrucia i rozbięcia „Wachlarza” przez hitlerowców na skutek zdrady. Książka oparta na materiałach archiwalnych i unikalnych relacjach uczestników wydarzenia jest cennym przyczynkiem do dziejów walk z hitlerowskim najeźdźcą.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. M. Skłodowskiej-Curie 1, czynne całą dobę.

OGŁOSZENIA DROBNE

BIURO Matrymonialne „Piast”, 84-300 Łęborg, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.
SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne Mazury Olsztyn-2 skr. 336.

Łp-2050-0

Łk 3737-0

KONTAKTY

MINI-KABARET PIEKIELKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY

Cztery znajome diabły, ob. ob. Supraski, Narwiański, Biebrzański i Buzański, po wielu trudach, znojach, cierpieniach, moralnych i mękach psychicznych, czolgając się na plecach (!) do brzoju w końcu do goniądko-nadbiebrzańskich bagien, topielisk i grzeźwi. W dalszym ciągu leżą na łopatkach, ale nie zaprzestają konstruktivnych dyskusji o niegdysiejszych i dzisiejszych przewagach.

SUPRAŃSKI: Kuliedzy! Skóra mnie czarna z pleców zlaża, ale myśl została się jasna. Tak ja i myślę, co by tu wymyślić, żeb nikt nie myślał, że ja nie myślę.

NARWIAŃSKI: Ja już wymyśliłem. Przed ostatnimi czasami doprowadziłem do rozbudowy ulicy Sikorskiego w mieście Łomży.

BUZAŃSKI: Eeee! To już było, mówiliście kiedyś o tym.

NARWIAŃSKI: Mówić mówiłem, ale mam nowe sukcesy na polu tej ulicy. Otóż, uważacie, doprowadziłem do eksmisji części zamieszkałej tam ludności. Niektórzy się wyprawdzili, ale nie wszyscy. I teraz jednej krnąbrnej kobiecie, która wzięła i została — dokwaterowałem nowych lokatorów, żeby sobie nie myślała. Ciekawe, co z tego wyniknie.

BUZAŃSKI: Tylko tyle? Slabawo, kolego Narwiański.

NARWIAŃSKI: A co, mało? To wam jeszcze coś powiem. W Baliakach nad Pisz, które objęte są strefą ochronną, dotychczas stały dwa urzędowe ośrodki wczasowe, tych urzędów, które ustanowiły strefę, żeby tam nic nie budować. A teraz trzeci, najpoważniejszy urząd buduje sobie ośrodek. I co wy na to? He, he! Ludzie się śmieją, a ja, nie chwając się, dostałem z piekła poufną pochwałę.

BIEBRZAŃSKI: Wam to dobrze! Wasza teczka personalna grubieje, a u mnie na bagnach nikt się jakos budować nie chce, cholera.

BUZAŃSKI: No i pewnie, czego bagno do bagna dodawać. I w ogóle teraz budować sens niewielki. Miałem ja ostatnio kontakt z krajoznawcą, to znaczy — północy. Tam, uważacie, co kiedyś zbudowali, teraz nocami w tajemnicy rozbierają.

SUPRAŃSKI: Niby po co?

BUZAŃSKI: Głupieście, kulięgo. Po to, żeby nie było, tam gdzie było, a jak nie ma, to nie ma i wszystko gra.

SUPRAŃSKI: Może i faktycznie, bo i po co ma być, jak było? Teraz chyba lepiej, żeb nic nie było.

NARWIAŃSKI: (wzdychając). Taaak. Jak tu żyć, czym straszyc?

BIEBRZAŃSKI: Najlepiej prądem.

SUPRAŃSKI: Może ja i głupi, jak powiedział kulięgo Buzański, ale czemu niby akurat prądem?

BIEBRZAŃSKI: Bo jest dobry na wszystko. W Rajgrodzie na przykład jedna bardzo poważna osoba ryby prądem strasząc, głuszy. Dokumenty są nawet na to w związku wędkarskim.

SUPRAŃSKI: I co?

BIEBRZAŃSKI: I nic. Ryba dobrze bierze na prąd, jak się jezioro podłazi do napięcia.

NARWIAŃSKI: Skoro mowa o wodzie, to wam jeszcze powiem, że na osiedlu Jantar całymi dniami jej nie ma. Krany pozakręcili, bo w rurach więcej mikroba płynie niż H₂O. Ot co! Najwięcej radości mają chorzy starszankowie, niemowlęta i matki karmiące.

SUPRAŃSKI: Pewnie ja w samej rzeczy i głupi. Na co woda karmiącym matkom, pić jo bendo? Tak samo i starszankowie. Weźcie moje osobę już nie pierwszej młodości. Jak słysze o wodzie, to mnie się żelondek przewraca. Nie macie co innego pod renko do pompowania? Napili by się ja.

BIEBRZAŃSKI: Coś to by się znało, ale znowu nie ma z czego...

BUZAŃSKI: Drobną sprawą, jak jest co, to zaraz będzie i z czego. (Jakaś szmatotana, krzyki, wrzaski, łomoty. Po chwili w szponach Buzańskiego znalazł się jeden z rogów diabła Supraskiego).

BUZAŃSKI: Ot i puchar mamy. Wam, kolego, jeden róg wystarczy. W zmienionych warunkach...

(bulgotanie, rozlewanie, toasty za dobre kontakty. Tylko Supraski milczy, ponieważ nie mówi, ale toasty spełnia ochotczo).

WIESŁAW TOMASZEWSKI

WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Sztandar Młodych” sugeruje, że służbę rolną w województwie łomżyńskim wini się za deszcz, grad, wiatr i powódzie. Tylko patrzeć pierwszego stosu.

Dymitr Panasiuk wyliczył w „Zielonym Sztandarze”, że weterynarzom w łomżyńskim brakuje funduszy, mieszkań, samochodów, części zamiennych i „osiągnięto również znaczny postęp w uwalnianiu bydła od grawicy”.

„Dziennik Ludowy” donosi, że w Rutkach jest już czwarty prezes GS-u, parę milionów deficytu i odrobina nadziei.

Zenon Piechociński spojrział na województwo przez mikroskop i zobaczył 4 przypadki duru, 23 — salmonellozy, 632 — świerzb, 330 — wirusowego zapalenia wątroby oraz 143 przypadki biegunki — po czym zwątpił w środowisko.



IL DIAVOLO

MAGIA

13

Liczby, a zwłaszcza ich tajemne właściwości, od niepamiętnych czasów zaprzętały umysły ludzkie, a wśród nich również takie głowy, jak Pitagorasa, Platona i św. Augustyna. Magią liczb zajmowali się filozofowie aleksandryjscy, ojcowie Kościoła, mistycy i kabaliści Wschodu, a także dyrektorzy od eksportu — importu w PRL. Liczby i liczenie do dziś towarzyszy człowiekowi w momentach uniesienia i w całym zwyczajnym popołudniu. Aleksander Mora, tropiący na łamach „Kamien” tajemnice ludzkiej natury, pisze, że liczby pomagały człowiekowi wyobrazić sobie bóstwo i nieskończoność, że liczbami mierzy się bieg czasu i ruchy ciał niebieskich, i że w ogóle świadomość tego, co która liczba znaczy, leży u podstaw starej i najnowszej magii. Tak więc jedynka znaczy bóstwo lub słońce, dwójka — Księżyc albo Saturn i Mars, czyli dwie planety złe, trójka to symbol planet dobrych, czyli Jowisza, Wenusy i Słońca, itd. Różne kombinacje liczbowe służyły magom do tworzenia cudownych kwadratów, których — odkąd człowiek nauczył się liczyć do stu i więcej — namnożyło się sporo. Jednym z nich jest kwadrat Saturna:

4	9	2
3	5	7
8	1	6

Jego właściwością jest to, że dodawanie trzech kolejnych liczb tu pomieszczonych zawsze daje sumę 15. Dodawać można poziomo, pionowo i po przekątnej — zawsze wyjdzie to samo.

DZIŚ GOŚCINNIE KABARET

TEY Z POZNANIA

ANIOŁ: Witamy bardzo gorąco i bardzo serdecznie, po raz pierwszy w naszym Raju. Ogromnie cieszymy się z tej wizyty, liczymy, że przyniesie ona określone rezultaty.

DIABEŁ: Trochę tu duszno w tym Raju...

ANIOŁ: Duszno, bo dusze siedzą.

DIABEŁ: To są te twoje dusze?

ANIOŁ: To są te same, o których opowiadałem, jak byłem wtedy...

DIABEŁ: A co ty mówiłeś, że one mają wszystkie jednakowo, co?

ANIOŁ: Inaczej by Raju nie było. U nas każda dusza ma według określonych...

DIABEŁ: A tamte, to co? Delegacja z innego Raju?

ANIOŁ: Zdarza się, że jedna dusza siedzi bliżej koryta... to jest — rajskiego drzewa. A inna trochę dalej ciągnie i na pozór się wydaje, że jedna ma więcej... a to jest duszpasterz i dlatego...

DIABEŁ: A tamten? Superduszpasterz?

ANIOŁ: Nie, to jest Anioł Stróż. Na służbie jest dzisiaj.

DIABEŁ: Kropielnicę tak schował, że nie zauważyłem. A reszta to — mówisz — pospolite?

ANIOŁ: O tych opowiadałem. To są takie nasze zwykłe szare dusze słowiańskie okielznane. — Siedzą, nie nie robią — Raj jest po prostu.

DIABEŁ: Właśnie tak słyszałem. Z jednej strony mówi się, że one tak sobie leżą, nie nie robią, a z drugiej, że u was wszystko kwitnie. Jak to się dzieje?

ANIOŁ: Cud.

DIABEŁ: A co to jest cud?

ANIOŁ: Wszystkiego nie mogę powiedzieć. Tajemnica rajska. Kupicie licencje i będziecie mieli to samo!

DIABEŁ: Sam chciałeś zbliżenia...

ANIOŁ: Odręczenia chciałem, nie zbliżenia...

DIABEŁ: Nie ma odręczenia bez zbliżenia.

ANIOŁ: Co ja mogę powiedzieć? Cud jest to zjawisko rajskie, które wszyscy mają głęboko w duszy zakorzenione. Jakby tu powiedzieć, to jest tak: nie ma, nie ma, nie ma, nie ma i nagle — cud!

DIABEŁ: Prawdziwy Raj. A kto to wymyślił?

ANIOŁ: Szkoda, że nie ma tłumacza, bo nie wiem, o co chodzi?

DIABEŁ: Ty, co ci się ta aureola tak trzęsie? Ale ci lata!

ANIOŁ: Z aureolą to jest jedyny mankament w naszym Raju, bo nie wszyscy ją mają, a ci, co ją mają, to nigdy nie wiedzą, kiedy im zgaśnie.

DIABEŁ: Mocno się jeszcze różni, widzę.

ANIOŁ: Nie mówmy o różnicach. Nie po to stanęliśmy obok siebie, żeby mówić o różnicach. Trzeba rozwiązać podstawowe ważne problemy, które nas interesują, poza tym okazuje się, że nie taki diabeł straszny, jak go propagują!

DIABEŁ: Co za szczerą atmosferą... U nas jest takie hasło: czas to pieniądz.

ANIOŁ: U nas też. Tylko się je inaczej interpretuje. Mówi się: pieniądz — to czas.

DIABEŁ: Dlatego macie tyle czasu. Przejdźmy do konkretów, kochany.

ANIOŁ: Uważam, że czas. Nas interesuje wymiana handlowa na określonych warunkach.

DIABEŁ: Proponuję jeden różek — za jedno kosmatelko...

ANIOŁ: Nie zgadzam się. Dawno przestaliśmy praktykować tego rodzaju kontrakty. Jeden za jeden — nam się to po prostu nie oplaca.

DIABEŁ: To dwa różki za jedno kosmatelko... Dodam ci wstążeczkę...

ANIOŁ: Dobrze. Dwa różki, wstążeczka — za jedno kosmatelko bez świecidełka.

DIABEŁ: Bez tej trzęsawki...

ANIOŁ: Są dwa?

DIABEŁ: Dwa.

ANIOŁ: Na pewno, nie nie zrobiłeś? Przysięgnij się... Dobrze, parafujemy — trzy za jeden. Tak trzeba handlować! Dziękuję.

DIABEŁ: Teraz spróbuj lecieć...

POKUSY
Andrzeja Koziary
pod redakcją
POKUSY
organ samoistny
POKUSY